



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie
We wszystkich księgarniach i kantorach pisemnych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

PRAWDA W WYCHOWANIU.

I.

Wychowanie, aby mogło odpowiedzieć celom swoim kształcenia ludzi do dobra i szczęścia, musi się opierać na prawdzie. To, co zowie się tutaj siłą dobrego przykładu, z tego gruntu wyrasta, bo są to obrazy piękna moralnego przedstawiane w żywych czynach życia, odbijających się na wyobraźni, na uczuciu rosnącej młodzi, która uczy się tym sposobem dobro kochać, dobro czcić i gnać je sobie, zanim wiedza złego i doko uderzy nań, wyzywając do zapasów wyboru. Gdy tak nie jest, gdy brakuje tu prawdy, wszystko to, co jako ideał szlachetny, jako prawo rządzące wyższym porządkiem życia, zostaje młodej istocie w nakazach wychowania podawanem, albo wrażenia dostatecznego nie wywiera, albo szczepi tam obłudę faryzejską — czyni się szatą zwierzchnią od oka ludzi na ramionach luźnie noszonej.

Że jest to złym siewem dla przyszłości życia, nikt zapewne nie wątpi; do najsmutniejszych przecież dramatów ludzkiego istnienia zaliczyć trzeba, gdy dziecko, wychowywane tak, że przejąc się może czcią dobra i prawdy, dostrzega nagle, że stoi niemniej na gruncie fałszu — że rodzice jego zadają przez czyny swoje kłam naukom, w wychowaniu głoszonem. Ludzie ci pragną niewątpliwie dzieci swoje lepszymi od siebie uczynić, ale co tu jest wtedy boleści i goryczy, co łez palących, które spływają potajemnie w urnę zboląłego serca! Miłość dziecinna, ta najpierwsza, najkłiwsza może miłość nasza, jakże boleśnie targać się wtedy musi z ideą dobra, z ideałem je-

go w duszy noszonym! Skutki tej walki zawsze okrutne są i w złe następstwa obfite, bo albo cześć piękna moralnego, dobra rozdziela się wtedy w umyśle młodym z pojęciem miłości, a zła to, och! zła lekcyja dla przyszłości. — albo przestając szanować, przestaje kochać, przestaje zarazem ufać i niedoświadczona młodość zostaje u wstępu do życia bez przewodnika, bez podpory i kierunku, narażona na zawody i omyłki, które trzeba jej potem drogo, bo często szczęściem całego życia opłacić.

Prawda w wychowaniu, które chce być dobre, chce być rozumnie prowadzonem, musi zstępować do zajęcia się drobnymi nawet szczegółami, bo z codziennych to, jakoby mało znaczących wpływów, działających jako wrażenie przelotne, wyrabiają się w młodości wyobrażenia, na których opierać się będą z kolei pożądania tego, co życie dać nam powinno — nasze do życia i użycia pretensye, zamiary dla przyszłości tworzone. Gdy, naprzykład, rodzice rozrzutni lub lekkomyślni, urządziwszy ognisko rodzinne nad miarę posiadanych środków majątkowych, poświęcać potem muszą pozorom rzeczywiste dobra — serdeczne radości i uciechy, pociechy życia, a nawet niejednej cnoty wypełnienie, niejednego obowiązku nakazy i nie mają już nic do dania biednemu, nic do złożenia na ołtarzu dobra ogólnego, dziecko nie zaprawia się do tego wszystkiego sercem, w umysł jako pojęcia obowiązku tego nie bierze, lecz uczy się niemal koniecznie pozory nad wszystko cenić, hołdować im i ciężko, ciężko mu potem będzie urobić się inaczej — stanąć odważnie na tej drodze prawdy, która nakazuje nad takie stosunki życia podnosić się uczciwie.

— I dumnie... dodać należy, bo nikt ceniący się jako pewną choć wartość moralną, wartość uczciwego człowieka nie zstąpi do poziomości takiej, aby grana komedya pozorów stała się celem jego życia. Przyjąć bez uczucia poniżenia zmianę losu, jeżeli ją sprowadziły, nie winy nasze, ale

wypadki od nas niezależne, do których nie przyłożył się ze strony naszej żaden grzech lekkomyślnego marnotrawstwa, należy do koniecznych, elementarnych warunków podnioślejszego na życie poglądu. Pieniądz bywa niejednokrotnie środkiem dla otrzymania tego surrogatu szczęścia, którym jest ułatwienie nam materialnych warunków bytu, ale nigdy — nigdy już nie przysparza nam godności, honoru, bo ten nie mieści się w kieszeni, a przecież, jak często, jak często, niestety! zniżamy się do kłamstwa z tego powodu, i nietylko już my sami przez skalę życia, podniesioną nad możność, ale wprowadzamy je w wychowanie naszych dzieci, dając im nieszczęśliwie, jak zgubny dar puszki Pandory, nawyknięcia zbytłkowe w stosunku do ich mienia majątkowego, stające się potem ciężką szkodą dla życia, nieumiejącego się już podnieść nad chęci i pożądania niezdrowe, z nędzną czcią złotego cielca w głębi.

Prawda staje się w ten sposób wygnaną z życia, któremu odbiera się zarazem i prawdę w pojęciu szczęścia, prawdę w pojęciu dostojności ludzkiej, więc prawdę w ocenianiu ludzi, aż z kolei przychodzi, jako konieczne następstwo poniżonego stanu ducha, nieprawda w sądzie o samym sobie i przeznaczeniu swoim. Młodość, która nie wychowuje się w poczuciu osobistej, od wszelkiego mienia, od wszelkich położań życiowych niezależnej godności, nie odczuje nigdy dostatecznie piękności otwartego przed nią życia i nie wydobędzie sobie z ducha szlachetnej ambicji przyłożenia ręki do wielkich spraw, do wielkich prac ludzkości. Sand gdzieś powiedział, że widzieć daleko i widzieć jasno — to najważniejszy przymiot w człowieku, bo wtedy już przy rozszerzonym polu widzenia idzie się prosto i z łatwością ku prawdzie i dobru, a rzecz to niezawodna. Postęp jest prawdą, która dowodzi się przez wieki i mimo mniej więcej smutnych okoliczności życia w stosunku, czy do jednostki, czy do społec-

czeństw całych, możemy stawać się codzień lepszymi i dążyć do stawania się szczęśliwsiymi. Nikt na ziemi nie jest wydziedziczonym ze zdolności rozwijania w sobie zasobów i sił ducha, a taka wiara w siebie nie jest bynajmniej tą miłością własną, którą chrzcimy nazwą egoizmu. Jest to wiara w człowieka i trzeba, aby wychowanie szczepiło ją już dziecku, łącząc z uszanowaniem dla jednostki każdej. Obowiązek to jest taki, że biorąc rzecz logicznie, nie należy nawet czynić z tego nikomu zasługi, a niemniej staje się on zasługą w każdej osobistości pojedynczej, która z obowiązku tego umie wywiązać się uczciwie.

Wychowanie może tak wiele, że w stosunku do istoty wychowanego dziecka wyrokuje ono niemal o doli jego i niedoli: dlatego też świat od początku cywilizacji przywiązywał do wychowania wagę bardzo wielką—dlatego godność matki jest i była zawsze wśród społeczeństw wszystkich stawianą tak wysoko, że kapłaństwa blisko. Kornelia, matka Grachów, przeszła do nieśmiertelności tą tylko zasługą, że była matką bohaterskich synów i należało jej się to niewątpliwie, bo umiała ich wychować tak podniosłe, że się to stać mogło.

Ukazała im gdzie jest prawda dostojności człowieka, na czym się zasadza i gdzie jej szukać. Nie postawiła tu przed nimi ideału zebranych skarbów, wesołego używania życia, szukania sobie świetności szat konsularnych. Wielki czyn ofiary, którego dokonali, należał w części do niej i przyznano jej też część sławy, na którą zasłużyła wespół z nimi. Niema matki, która by pozostała bez wpływu na życia dzieci, gdyby chciała zasłużyć sobie na niego, i poniekąd każda go wywiera, bo każda wychowuje. Ona, która urabiała im serca podniosłe, która zatliła tam świętą iskrę zapału — ona była też z nimi duchem swoim na tem polu, gdzie zarobili sobie na nieśmiertelność. Człowiek jest z natury swojej istotą szlachetną, ale długo słabiuchną jest ona i na razie potrzebuje podpory, gdyby też matki wszystkie, a przynajmniej część ich większa, rozumiała, gdzie jest prawda szczęścia, prawda rzeczywistej godności człowieka, ludzkość znalazłaby prędko drogę, wiodącą do niej. Dziś wielkim zadaniem matek, kobiet wogóle, jest stanie na straży tej wielkiej prawdy ewangelicznej, że nie samym chlebem człowiek żyje.—Cywilizacja materialna kipi obecnie i pryska z parowego swego kotła lawiną szumowin: trzeba też, aby kobieta, która od wieków ma sobie zwierzony do przechowania ognień święty, przeciwstawiła się tu wpływowi, które zalać go mogą.

Nie nazawsze, bo jest on tak nieśmiertelnym, jak Duch Święty, ale niech ludzkość nie popadnie w zaćmienie materializmu. Jest to wielka chwila pracy dla tej kobiety, która stoi u domowego ogniska, matki i żony, niechaj też powie sobie ona, że przyszedł czas, gdzie praca się zdwaja.

Najprostszą, najbardziej dotykającą prawdą w stosunkach ludzi do dziecka jest to, że nie zarabia ono sobie jeszcze w życiu nic. Jak w gruncie rzeczy nie posiada zgoła żadnego materialnego mienia, tak nie posiada i żadnej zasługi społecznej. Rodzice dają mu utrzymanie i tu miłość zdaje się załatwiać rachunki; przecież nie jest to tak zupełnie. Rodzice wypłacają tylko dziecku swemu to, co otrzymali niegdyś od własnych rodziców—co życie dało im u wstępu do niego, i obowiązani są to czynić, czy kochają lub nie. Uczucie przecież zamienia w rozkosz, w szczęście te trudy, te tkliwe starania, jakimi otaczają dziecko swoje, które zaciąga też zaraz u progu życia względem nich obowiązki serdeczne, niezawisłe od uczucia wdzięczności nawet, które przedstawia rozum. Łańcuch to jest wzajemnych zobowiązań, ale stosunek dziecka do obcych, do służących jest inny; za pracę starań koło dziecka, rodzice ich wynagradzają według umowy i tu już jest wszystko w porządku: daję, biorę... i wyjąwszy międzyludzkich zobowiązań człowieka dla człowieka, nic już nie następuje uwag żadnych.

Ale jest rzeczą nienaturalną oddawanie dziecku jakichś honorów — jest rzeczą nienaturalną

i psującą, gdy małeństwo, ledwie chodzić umiejąca, jest tytułowane paniczem, panienką... Razi to ucho mimowolnie, mimowolnie sprowadza uśmiech na usta, ale poza tem, co tu jest śmiesznością, jest jeszcze to, co przedstawi fałsz — co jest zatem psującym, bo rażąco kłamliwym. Formy światowe wymagają, aby starsze już dziecko używało tak zwanych przywilejów stanu, co przecież wobec dziecka małego powinno być usuniętem ze względu na wpływy—na to, że dziecko tego wieku nie ma jeszcze żadnego stanu — jest dzieckiem jedynie, istotą słabą, która odbiera tylko a nie daje nic. Znam fakt bardzo charakterystyczny w tym kierunku pojęć. Do pewnego wiejskiego dworu przyszedł raz żebrak starzec, proszący jałmużny; wyniosło mu ją dziecko, dziewczynka, którą też tytułowano już panienką, choć mogła mieć najwięcej lat dziesięć, dała starem u kilka groszy i według zwyczaju chleba kawalek, a on ją przytrzymał.

— Teraz mi podziękuj — rzekł i wyciągnął swoją zwiędłą rękę, rękę starca, które zmieszane dziecko pocałowało jednak posłusznie. — Teraz dziękuję ci za to, coś mi dała... odparł. — Niech cię Bóg błogosławi...

Ten starzec żebrak był filozofem, rozumiejącym wychowanie. — Nastręczył dziecko możność dobrego uczynku i było to rzeczą godną wdzięczności, za którą żądał też podziękowania i w stosunku dziecka do ludzi tak jest we wszystkim: wszyscy mu coś dają, bo uczą go żyć i dziecko dla każdego człowieka powinno czuć pewne uszanowanie i wdzięczność.

M. Ilnicka.

CARMEN SYLVA.

(Dokończenie).

Wody Dunaju przyniosły dnia 20 Listopada 1869 r. królową Elżbietę do brzegów nowej ojczyzny. Witano ją u granic chlebem i solą, a nieznaną jej dotąd zwyczaj, bogate wschodnie suknie bojarów rumuńskich—wszystko aż do malowniczości przyrody, już też wschodniej, działało silnie na wyobraźnię. W Bukareszcie już, w sali tronowej, deputacya pań ofiarowała jej przy przemowie, w której nazywano ją matką ojczyzny, bogaty dyadem z pereł i brylantów, a obok tego kunsztownie i kosztownie haftowany ubiór narodowy. Odpowiedziała ze szczerem wzruszeniem, że pragnie poświęcić się cała obowiązkom swoim, a spostrzegła bardzo prędko, że nowe pole pracy jest bardzo rozległe i nie łatwe do uprawy. Obyczaje nawpół wschodnie, zastępy sług, sprawiały to razem, że Rumunki klas wyższych pędziły życie próżniacze, w zbytku zatopione, i królowa wzięła to gorąco do serca, aby wywołać przeciwstawiający się temu ruch w zakresie zajęć i obowiązków życiowych. Łagodna i rozumna, oddziaływała jedynie tylko przykładem: zapraszała do siebie na zebrania wyłącznie kobiece, sama zawsze z jakąś robotą w rękę: aż zaczęło się to stawać modą, a przytem jeszcze dawała rady poufne, i w tym celu zaprowadziła zwyczaj udzielania posłuchań tylko pojedynczo. Szło tu zwykle o jakiś interes, często o sprawy rodzinne, i królowa Elżbieta, aby zbadać prawdę, aby przemawiać szczerze—radzić, nauczać, wskazywać, gdzie jest rzeczywista godność kobiece, gdzie jest kobiecego życia dobro prawdziwe, chciała przemawiać na audyencyach takich w czterech oczy.

Do letniej swej rezydencji w klasztorze Sinai, zapraszała też z celem podobnym, szczególnie młode panie, młode panny, często dziewczątka jeszcze, aby je uczyć pracy, w której widziała rozumnie najlepszy środek uszlachetnienia, podniesienia. Nuda istnienia urządzonego na sposób wschodni, pogrążonego w lenistwie, w bezczynności, wprowadziła w życie Rumunek wiele

złego—psuła ich obyczaje, a na tym-to punkcie królowa pragnęła przedewszystkiem zmiany. Kobieta, która część dnia leży na dywanie z cygarem w ustach, lub kołysze się w hamaku, przychodzą do głowy myśli niezdrowo fantazyjne—i temu-to stanowi chciała przeciwstawić pracę, która dawałaby antidotum najlepsze: zdrowe i użyteczne zajęcie.

Przybywające do królowej w gościnę czytały, grały, haftowały, lub szyły z celem dobroczynnym bieliznę i odzież dla ubogich, czyniły wycieczki w okolice, zalecające się wyższą pięknoscią krajobrazu, lub uświęcone wspomnieniem historycznym i wogóle nie dopuszczała królowa, aby czas włókł się bez zajęcia, przygłębiając nudą. Pozbywano się w ten sposób wschodniego lenistwa, nabierano nawyknień dobrych. Przytem królowa przywdziała i nosiła stale narodowy ubiór Rumunek, aby kosztowne, sprowadzane dotąd z Paryża stroje straciły na walorze modnej elegancji cechy arystokratycznej. Usiłowała obok tego urządzać dobre pracownie ubiorów, co usuwało pozór potrzeby zaopatrywania się za granicą, i dawało, oprócz umoralnienia kobiety, oszczędności w sposobie życia, przy nich zaś łatwiej było rządowi uzyskać fundusze na szkoły, których w zakresie nauki kobiet i młodszych dzieci, królowa Elżbieta stawała się protektorką z urzędowym tytułem kuratorki.

A pełniła urząd swój sumiennie, nie ograniczając go do tytułu na papierze. Przeglądała stale plany, odbywała wizyty, bywała, nie na popisach, ale przy examinach, i jednym słowem: wprowadziła w modę—pracę, oświatę, czyste obyczaje, i były to dla kraju, dary rzeczywiste królewskie, dary drogocenne. Jeżeli król Karol myślał przy wyborze żony o wpływach, jakie mogła wywierać na kraj, nie pomylił się w wyborze.

I ona zarazem nie rozstała się ze swemi zamiarami, nie porzuciła marzonego zawodu. Była nauczycielką, nauczycielką na rozległą, szeroką skalę, a otrzymała też zarazem i dawała szczęście, uzupełnione urodzeniem się dziecka—córeczki, którą kochała gorąco, namiętnie. Patrzyła w oczy małeństwa i pytała: jakie myśli przepływają pod tem czołem, jakie uczucia biją w małym serduszkach, a w 1873 r. zawiozła dzieciątko matce. Cieszyła się radośnie z ujrzenia stron rodzinnych, cieszyła się wogóle z życia, które było szczęśliwe i użyteczne, co u niej łączyło się ze sobą nierozdzielnie; ale niema takiego istnienia na ziemi, które mogłoby być zawarowaniem od ciosów losu. W rok po tej miłej z dzieciątkiem swoim wycieczce do ojczyzny, utraciła je, a ludzie lękali się, czy przeżyje tę stratę, zwłaszcza że cios przyszedł niespodzianie, bo dziecina była od urodzenia zdrową i silną. Zabiła ją nagle choroba mordercza: difteritis, a mąż, ludzie, lękali się o nieszczęśliwą, czy przeżyje ten cios; ale od czegożby była siła ducha, gdyby nie uczyła cierpieć mężnie?

Temi prawie słowy wyraziła się nieboga, pisząc do matki: Bóg dał—Bóg wziął. Dziękowała mu zawsze za szczęście, które było jej danem zakosztować, dodając, że wspomnienie jest jeszcze skarbem. „Wolę cierpieć, jak Niobe, niżeli nie być nigdy matką... Moja dziecina przebywa u Boga, a miłość w sercu mojem jest silniejsza, niż śmierć. Cieszę się, myśląc o tym aniołku, który jest moim i z którym złączę się kiedyś... ujrzę go“... Dziewczynka umarła w Zielone Świątki, a w Rumunii panuje poetyczny przesąd, że w dniu tym niebo jest otwarte i duchy ludzi umierających wtedy, idą tam wprost, nie zatrzymywane już przez moc żadną w drodze tej swojej. Ona usiłowała czynić sobie pociechę z tej wiary ludowej; przecież znajduje się w zbiorze jej poezji wiersz ciężko smutny, pod tytułem: „Tęskno mi“...

Ludzie, mąż nawet lękali się tymczasem, czy nie przestanie pisać, co byłoby odebraniem jej najmilszej uciechy i pociechy życia, bo wiersza tego nie pokazała nikomu długo, długo—lata całe. Wogóle tych poezji, które płynęły najgłębiej z jej serca, z wyrazem osobistych jej uczuć, nie lubiła dawać do czytania nikomu, a jest tak chyba zawsze z poetami, którzy nie tworzą nazimno, że wyłącznie osobistych cierpień, tęsknot, pożądań swoich ludziom na pokaz nie dają, i chyba

potem—potem kiedyś, gdy czas oderwie niejako boleść, zawód doznany od osobistości poety, wiersz taki wyjdzie z kryjówki. Ona pojechała teraz znowu do matki—do piersi macierzyńskiej, najdroższej zawsze człowiekowi trzeba jej się było przytulić, aby rana boleści zablizniała się łagodnie; przecież za powrotem usiłowała się zająć, i zajęła czynnie tem wszystkim, z czego czyniła sobie obowiązek królowej, ale poetka nie miała tej siły. Pióra ująć nie mogła, czy nie chciała może, aby nie wybuchnął w skargi, w żale ciężkie i w chwilach wolnych zajmowała się przez czas długi malowaniem, naśladowując stary styl średniowiecznych mszałów, zajmując się obok tego zakładami dobroczynnymi lub kształcącymi.

Założyła stowarzyszenie śpiewacze. Heise dostarczył jej dla jego chórów tekstu niemieckiego, który ona przełożyła na język rumuński. Starała się rozszerzyć stowarzyszenie na cały kraj, założyła też szkołę rysunkową, zawsze z myślą wyrażoną w pamiętniku, że zajęcie dobre, zajęcie z pewną choć odrobiną poezji w sobie, najlepiej broni pojedynczego czy zbiorowego człowieka przed używaniem nędznym, cieszącym nas jedynie przez zadowolenia poziome.

W rok prawie po śmierci córki swojej, pierwszej wiosny po tej stracie, gdy przybyła do letniej swej rezydencji, Cotroceni, wykupiła od pastuszków wiejskich trzydzieści słowików, przeznaczonych na sprzedaż ptasznikowi z miasta, i puściła je wolno, pisząc potem w pamiętniku: „Niech lecą wolne... niech wzbijają się w błękity, nucąc słodkie piosenki swoje: w niebie słychać je będzie... Czytelnik czuje, że myśli ona w tej chwili o utraconej dziecinie, że posyła jej na gości z ziemi te ptaszęta śpiewu, a choć ktoś powiedzieć może, że to jest głównie poezja, czy przecież nie jest to zadaniem poezji, aby, idealizując życie, podnosiła je i dawała uczuciom tkiłość i siłę? Trudno też zrozumieć tych, którzy w imię dobra żądają od utworów sztuki celowości; celem jest tu piękno, które z kolei ma swój cel odrywania człowieka od realnego wyłącznie interesu życia i otwiera mu krainę ideału, gdzie mieści on tak swoje tęsknoty i zale, jak zaziemskie wiary i nadzieje. Ona tak to pojmuje i pisze w tym czasie właśnie, że „Poezja jest piastuną, od Boga nam daną, która śpiewa duszy ludzkiej, aby budzić w niej tak iskrę zapału, przez którą człowiek biegnie w życie za celem swoim, nie oglądając się na ciernie i głogi, jak i wtedy, kiedy żal, ból, tęsknota za utraconem szczęściem, potrzebują ukłysania łagodnego.“

Przecież ta dusza prawa lęka się zbytniego folgowania sobie. „Cichości, ach! cichości mi trzeba!...“ napisała w pamiętniku, wkrótce po śmierci dziecka, zwłaszcza, że strata poniesiona podkopała jej zdrowie; ale myśl głęboko w jej przekonanie wszczepiona, że: „aż do ostatniej godziny należy nam wypłacać się pracą za życie“, wzbudziła się w niej wkrótce. Gojąc ranę swą serdeczną, żyła głównie z naturą i książką, pisała poezje smutne, jak treny Kochanowskiego po zgonie Urszuli; ale myśl o powinnościach jej stanu, budziła się w niej prędko i przychodzi, aby ją wyciągnąć z letargu boleści;—„Poezja może się stać epikureizmem—pisze w pamiętniku—trzeba nam albo rzec się obowiązków naszych, albo wypełniać je jakimkolwiek kosztem, bo co tu będzie dogadaniem sobie, zabierzemy komuś“.

—„Bogu, ludziom“—dodaje, a że nie był to patos luźnie na papier rzuconego frazesu, świadczą owoce jej pracy. Szczególniej zajmuje się domem sierot, który wzniosła już poprzednio: „Asyle Hélène“, a gdzie wychowało się po rok 1885, pod jej uczciwym, rozumnym, nigdy w pilności swej nie słabnącym kierunkiem 460 dziewcząt. Przyjmowane tu od wieku lat pięciu, pozostawały one do dwudziestu, kształcone w naukach, w obcych językach, w sztukach, o ile w której okazywała się zdolność do czego. Uczyły się obok tego wszystkie bez wyjątku robót ręcznych, zwłaszcza z praktycznym zastosowaniem w życiu rodzinnym, domowym, jak: białego szycia, krawiecczyn, przytem prowadzenia podwójnego ksiąg handlowych, a pozostawały w zakładzie aż do czasu, gdy otrzymywały patent po złożonym egzaminie, który, dodać trzeba, odbywał się zawsze w jej

obecności i do którego przygotowała nieraz osobiście, zwłaszcza te z uczennic, o których wiedziała, że im nauka idzie trudniej, lub że są nieśmiało i zalekną się mogą.

Miała w sobie instynkt macierzyństwa, instynkta rodzinne wogóle, i taka stała się wkrótce sława wychowawczych zalet *Schronienia Heleny*, że wszystkie wychodzące ztamtąd uczennice, szły niemal zaraz za nią, i to nie dla względów na jakąś protekcją królowej. Życie rodzinne Rumunów nie było budującym; Wschód dawał się tu już odczuwać, pojęcie obowiązków i godności kobiety było bardzo luźnym, i to stanowi największą zasługę królowej Elżbiety, że przykładem swoim wprowadziła niejako w modę uczciwość obyczajów i czystość życia kobiety postawiła na najwyższym piedestale cnoty. Nauczycielki prywatne i szkół rządowych, wychodzące głównie ze *Schronienia Heleny*, wszczerpaly te pojęcia w młodzieńczej, i przedstawiały to obraz dziwnie piękny, jak jedna dusza szlachetna kobiety oddziaływała na tysiące—podnosi je i uzacnia. Poeta nasz powiedział: „Jest koło czarodziejskie, co piękność otacza kołem z nieba odbitem!“... Tu widzimy, że jest koło czarodziejskie otaczające cnotę, zwłaszcza, że umysł podniosły, że rozum wykształcony pomagał jej, aby stawała się rzeczywiście użyteczną i dobroczynną w działaniu.

Drugim równie użytecznym zakładem, założonym za grosz jej prywatnej szkatuły, jest szkoła haftu: *Scola Elisabeta Doamna*, gdzie 70 najbiedniejszych dziewcząt z ludu otrzymuje, obok dobrego wykształcenia elementarnego, naukę w robotach ręcznych, typu miejscowego. Narodowy ubiór Rumunów, mężczyzn i kobiet, bywa bogato zdobnym w hafty różnokolorowe. Wieśniaczki często naśladowują hafty, widziane na kapach kapłańskich, a nierzadko usiłują odtwarzać z natury kwiaty i liście, wiciokrzewy, a pewne motywy przechowują się stale okolicami, niekiedy bywają rodzinne, czyniąc się poniekąd herbami. Wrodzony kobietom rumuńskim klas wszelkich gust do barw żywych, czyni te hafty bardzo świetnymi i długie szale, które, zarzucając na szyję, spuszczały wzdłuż kibici, bogato haftowane na tkaninie specjalnej, przedstawiają się bardzo malowniczo. Królowa Elżbieta przez szkołę haftu wykształciła smak wrodzony tych kobiet, a czyniąc modnymi i w klasach wyższych wspomniane szale, uczyniła ich wyrób bardzo korzystnym, co stało się nietylko ubogaceniem robotnic. Narodowy ubiór, smak narodowy, wskrzeszany w klasach inteligentnych, oddziaływał i na serca—na uczucia, które ona poczciwie usiłuje pielęgnować. Jest ona rozumna i wie, jakim to węzłem rzeczy zewnętrzne wiążą się z wewnętrznymi i czem to są zwyczaje, obyczaje w stosunku do istoty człowieka, do mas narodowych. Pierwszem Towarzystwem Dobroczynności w Rumunii było zaraz po jej przybyciu do kraju założone *Société d'Elisabeth*, które wydaje rocznie ubogim 30,000 fr. w materyałach spożywczych. Królowa urzęduje nieraz na korzyść tego stowarzyszenia koncerty i odczyty, rauty, wprowadzając w zwyczaj przez przykład własny, aby wszystkie panie bywały w kostiumach miejscowych, których bogate hafty dają zarobek robotnicom, utrzymujące się z tego. Dobrobyt podniósł się w klasach niższych, a pieniądź bogatych nie wpływał za granicę.

Król Karol mówi nieraz wesoło, że żona jego jest najdoskonalszym ekonomistą w Europie.

Była też ona natchnieniem do założenia Towarzystwa *Albina*, które się zajmuje wyłącznie dostarczaniem roboty prostej kobietom z ludu. Początek był bardzo skromny. Zaczęto od dostarczania roboty sześciu kobietom; w lat dziesięć otrzymywały ją tysiące. Wszystko to, co w tym zakresie rząd brał od dostawców prywatnych, szło teraz od Towarzystwa, które w przeciągu roku kupiło niezamownym szwaczkom 130 maszyn do szycia, i postępując tak dalej, doszło do tego, że w 1884 r. dostarczyły dla armii 30.000 namiotów, za pośrednictwem Towarzystwa, które obecnie, pomijając liwerantów i znosząc się wręcz z robotnicą, dostarcza wszelkiej bielizny dla wojska, do więzień i szpitali.

Grosz skarbowy, z pobieranego podatku powstały i tworzący miliony, wraca tym sposobem wręcz do mas narodu, i król Karol ma słusność, wielbiąc ekonomiczne zdolności swej żony.

Czwarte z kolei stowarzyszenie: *Concordia* wzięło sobie za zadanie podnosić wszelkie gałęzie swojskiego przemysłu, ze szczególnym względem na płóciennictwo. Jakkolwiek w Rumunii konopie rosą dziko, jak wszelki chwast inny, sprowadzano zwykle płótno na potrzeby wojska i zakładów rządowych z zagranicy, aż królowa podjęła tę sprawę. Napisała do ministra spraw wewnętrznych list otwarty, aby, zniósłszy się z kim należy, sprawę tę podjął i stan rzeczy zmienił, co powiodło się bardzo szczęśliwie, bo popędzany przez rząd oddział na prywatnych i wspomniane *Towarzystwo Albiny* krajowych tylko wyrobów tkackich używać może. Na równinie Cotroceni, w pobliżu letniej rezydencji królewskiej, wzniesiona została, za jej staraniem, rządowa szkoła płóciennictwa, gdzie pracuje czterdzieści maszyn tkackich; również za jej staraniem ministerjum skarbu wyasygnowało w 1885 roku 200.000 franków na wzniesienie Szkoły Tkactwa i Przemysłu w pobliżu Cotroceni, królowa zaś zabrała zabudowania dawnej szkoły wojskowej na szkołę hodowli jedwabnictwa, zakładając zaraz w pobliżu plantację morwowego drzewa. Planem jej jest, aby cała okolica zapełniła się szkołami takimi przemysłu krajowego, nad którym pragnie ona osobistą pieczę rozcigać.

Zmysł praktyczny w czynieniu dobrze nie opuszcza tej poetki na tronie. Ze stowarzyszeniem *Concordia* w związku zostające a założone pod wpływem i z udziałem królowej Elżbiety stowarzyszenie *Surnica* kupuje z pierwszej ręki jedynie, wręcz od robotnic, hafty, przędzę, tkaniny i tym podobne przedmioty domowej pracy kobiety, aby je we własnych sklepach, w bazarach, sprzedawać. Wszystko, co kobieta wyprodukować może w tym zakresie, przyjmuje się tu bezwarunkowo, aż do koszuły z prostego płótna ozdobnej w tradycyjny haft kolorowy i wieśniaczki te, które tu noszą taką bieliznę, zapaski, zarzutki szalowe, dały królowej poetce tytuł matki kraju.

Stowarzyszenie *Surnica*, rozgałęzione po kraju, uważnie śledzi w jakich okolicach przemysł jaki lepiej przyjąć się może. W górach popiera ono kunszt haftu, bo tu robota w polu jest małoznaczna; na równinach kobiety w zimie tylko haftować mogą, w lecie pracy rolnej oddane, a tu kobiety orzą zwykle. W górskim miasteczku Câmpo Lungo posiada stowarzyszenie pracownię, zajmującą 400 dziewcząt i kobiet góralek. W miastach pozakładała królowa Elżbieta *tanie kuchnie*, które jej kosztem żywią dziewczęta ze szkół haftu.

Królowa Elżbieta, nieustannie czynna, nieustannie zajęta pracą swego królewskiego urzędu, przedstawia postać silnej, rozumnej, obowiązkowi poświęconej kobiety. Ta druga przecież, która się zowie Carmen Sylva, — ta druga, która jest poetką, nosi w sercu ranę głęboką i czuć, że nieraz jest jej bardzo tęskno na ziemi, z której znać odeszłaby bez żalu. Charakterystyczną cechą jest tu to, co zamieściła w pamiętniku, że *Safo* była pisana z pośpiechem, który nie dał jej artystycznie wykończyć szczegółów, gdyż myślała, że boleść po stracie dziecięcia musi ją zabić wkrótce i możnaby powiedzieć, że król małżonek jakoś zamało tu jest widocznym, postać jego zanedbano pozostaje na uboczu w momencie takim. Do rysów wybitnych należy jej dumny gniew, wyrażony w krytyce na *Safo* poety Grillparzera za to, że nie czyni kapłanki Apolliny dość podniosłą, że czyni ją małą w miłosnych jej uniesieniach, w miłosnych jej żalach i rozpaczach. Piśsze, że tworzyła swój dramat, jako protest przeciwko takiemu obrazowi kobiety kochającej, w której duszy mieszka poezja. „Ona musiała inaczej kochać — ona żyjąca wśród otoczenia młodych dziewcząt, którym odsłaniała tajemnice poezji!“

Że ona sama umie kochać mocno, tkliwie to czuć we wszystkim, i razem ta postać ukoronowanej poetki przedstawia kobietę niepospolitą, wskrosz szlachetną i czci godną dla swojej pod-

niosłości ducha, która sprawia, że królowa Elżbieta zdolną jest przez tkliwość uczucia silnie cierpieć i nad cierpieniem szlachetnie panować. I to jest jej królewskość najwyższa — jej majestat.

M. Ulmicka.

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Lipiec.

W ogrodzie dworskim białe już wczesne jabłka i spać nie dawały wielu ludziom a przede wszystkim żydom, dzierzawcom sadu, i całej młodzie wioskowej.

Starsi nie jedzą zwykle owoców do Spasa, ale pastuchy i parobcy nie zachowują tej tradycji.

Mowa o tych jabłkach była wszędzie na ulicy w święto, w karczmie, na pastwisku, przy robocie.

Zrabowanie sadu należy do czynów bohaterkich, i najęźsi parobcy przechwalali się z zeszłorocznych napadów.

Plany knuły się na noclegach koni. „Nocleganie“ to plaga wsi.

Oni to kopią nocami kartofle, porywają u gospodyń kury i gęsi, spasają łany zielonego owsa i dworskiej koniczyny. Schwytać ich nie sposób, gdyż wjeżdżają w szkodę konno i za łada szmerem zmykają, drwiąc z polowego. Czasami trafi się im gratka nielada. Tak się udało pewnej nocy Klimowi Czechowi podkopać się do alkierza szynkarza i dostać wiadro wódki.

Tak się udało Kirykowi Hubeni wywlec z chlewka na probostwie paromiesięczne prosię, a Iwanowi Kutowi dostać kopę jaj z komory u Dudarów.

Ucztowali więc na noclegach, przy ogniskach, skwarząc i warząc zdobyte prowianty. Rano trzęsła się wieś od babskiego wyrzekania i płaczu, ale hałastrą ta mało o to dbała, trzymając solidarnie wspólną tajemnicę.

Pachniały im dworskie jabłka, i co nocy wybierali się po nie, ale się zwlekało, bo słuch szedł, że psy strasznie złośliwe i Huce wartują — żydom do pomocy. Huców nie cierpiała wieś, jak wilki-zbóje nie cierpią wiernych brytanów.

Pierwszej niedzieli zjawił się Klim Czech, Maxym Syluk i Kiryk Hubenia w ogrodzie.

Każdy miał dziesiątkę na jabłka. Przebierali, kosztowali, snuli się tu i tam, wreszcie napełnili swe zanadza i poszli, bardzo grzecznie.

Karpina Huc spotkał ich przy bramie i zaśmiał się.

— A co? Wypatrzyliście? — spytał.

— Ojoj! — zuchwale odparł Kiryk.

— A widzieliście moją pałkę przy budzie.

— Ojoj! — powtórzył wyrostek.

— Nu, to jej smak poznacie!

I rozeszli się, zamieniwszy przyjazną zapowiedź — wojny.

Karpina się uwziął. Nie szło mu tyle o żydowskie jabłka, ile o swą sławę junaka.

Pomimo całodziennej pracy w polu czuwał w nocy i brata Matwieja do pomocy uprosił; czuwał noc drugą, ale wszędzie była cisza i spokój.

Na trzecią noc zabrał Matwieja połowy do objazdu łak, i czuł Karpina, że go nieprzewyciężony sen morzy.

Zafrasowany, dumal chwilę we drzwiach stajni, szukając socyusza.

Znalazł wysmienitego.

Pod złobem towarzyska jego obiadów, pstra Służka hodowała parę szczeniąt.

Parobek zabrał je w połę świty i zaniósł do ogrodowej budy.

Tedy bezpieczny, przy służce się położył, pałkę do boku wziął i zasnął jak kamień. Żydzi i żydówki snuli się kupą, drząc za łada szelestem.

Tymczasem na noclegu ruszyła banda.

Noc im sprzyjała swą ciemnością; uzbrowili się w drągi i siekiery, i poszli. Pod ogrodzeniem zatrzymali się nieco, szukając otworu, ale były to koły dębowe, nowe. Zaczęli więc je rąbać i odrywać, sprawiając się, jak można, najciszej. Wiatr szumiał i głużył robotę.

Wśliznęli się wreszcie do ogrodu i szeptem złożyli naradę.

— Nie pójdę do papierówki! — mówił Klim — bo tam pewnie który Huc śpi. Jak się zerwie, to ubije.

— A jakże! Niech sprobuj! — zajadłe Kiryk wtrącił. — Albo to u mnie siekiery niema! Tak zarąbie, że ani piśnie!

— To ty tam idź na niego! Ja z Maxymem oberwę te słodkie nad rowem — a Kondrat zajdzie, aż het w koniec sadu, i tam byle co trząść będzie, żeby żydów i Huca oszukać. Pobiegną tam, a my tymczasem się sprawimy!

Rozeszli się tedy, pełzając po rowach, czając się do krzaków.

Serca ich napełniała duma i trochę strachu. Drągi nieśli na ramieniu, siekiery mieli za pasem, wiatr szumiał. Nagle Służka podniosła głowę i zeicha zawarczała. Karpina się przecknął i zaraz oprzytomniał. Leżał nieporuszony, ale uszu nastawił.

Ktoś szedł ku budzie, bosy i powoli. Huc pałkę ujął i zgarnął się jak do skoku. W tem daleko rozległo się trzęsienie gałęzi i zaraz potem ogłuszający wrzask żydów biegnących w tamtą stronę.

Służka porwała się, wściekle ujadając, porwał się Karpina i ujrzał cień jeden, uciekający ku płotom, a dwa pod jablonią.

Suka skoczyła jednemu do nóg, on drugiego poczęstował pałką, ale się potknął i upadł.

Napastnik zwałił się nań i począł go dusić, bijąc przytem pięściami. Suka, to skowyczała z bólu, to rzucała się znowu, chrapiąc z wściekłości. Wreszcie Karpina się zerwał, poznał w napastniku Maxyma Syluka i za switę go uchwycił.

Tamten, słysząc, że żydzi biegną, szarpnął się i uciekł.

— Trzymaj, chwytaj! Ahu, ah! — krzyczeli żydzi.

Karpina obrócił się do pozostałego.

Ten rzucił worek i obrane jabłka, zgubił drag, opędał się od suki nogami, a rękami dobywał siekiery z za pasa.

— Aha, ty tutaj, Kirycek! — krzyknął Huc rozwścieczony — słodkie jabłuszka tobie, nu to zgorzknieją rychło.

Huż, Służka, huż!

Kiryk siekiere miał już w garści.

— Puść mnie, bo cię zarąbie! — krzyknął.

Już go dopadł Karpina, gdy wyrostek nań siekiere cisnął, a jednocześnie dał desperacki skok i, ścigany przez Służkę, umknął.

Posłyszał jęk Karpina, zrozumiał, że trafił, i uchodził pełen dumy z dokonanej zemsty.

Gdy żydzi z latarniami dopadli miejsca wypadku, Karpina leżał z rozrąbaną głową i nawet nie jęczał.

Suka poprzynosiła do jego nóg swe szczenięta, jakby szukając opieki, i wyła żałośnie.

Powstał gwałt okropny, zbudził się cały dwór, pan, pani, Huce wszyscy.

Oblano rannego wodą i pani obejrzała ranę. Czaszka była cała, ostrze zatrzymało się na niej, rozplatawszy czoło i głowę.

Bracia kleli okropnie; Prytulanka i Olenia rwały włosy, wyjąc z płaczu; stary Kornilo milczał i tylko oczami od zgrozy rozszerzonymi patrzył, jak w obraz, w panią.

Ona też na niego spojrziała po opatrunku.

— Będzie zdrów, Kornilo! — rzekła.

Tedy stary głęboko odetchnął i odwrócił się, rękawem ocierając oczy.

I zaraz do pana przystąpił.

— Cierpeli my drwiny i przewiska i łajania i szczekania, a no już krwi nie darujemy! — rzekł z zawziętością.

— Już posłałem po policyę! — odparł obywatel.

— Dziękuję panu. Chłopcy! — krzyknął na chłopców — ty, Wasyl idź za śladem, a ty, Matwiej, może znak jaki znajdziesz! A wy, baby, cicho, kiedy pani mówi, że żyw zostanie!

Rozesłał swoich, ale sam został i, na kiju wsparty, przypatrywał się rękom pani, tamującym krew, kładącym płaty.

I tak doczekał się, aż z omdlenia parobek odszedł.

Rozejrzał się, zobaczył krew, rękami do głowy sięgnął.

— Bardzo cię boli? — spytała pani.

— Boli. A złapali hycła?

— A któż to był? — rzekł ojciec.

— Hubeniów Kiryk. Cud, że nie ubił. Oj, świtka cała we krwi!

Obwiązano mu głowę, a wnet przyjechał policyant, spisano protokół.

Skrwawioną siekiere, kapelusz, drag zabrano do sądu, a rannego włożono na wóz i odwieziono do chaty.

Już obejmowała go gorączka, bo na ból się nie skarżył, tylko wciąż powtarzał:

— A taki im jabłek nie dałem! Taki nic nie wynieśli!

Na Hubeniów spadł tedy grom w postaci śledztwa i aresztu Kiryka.

Stadnina gromadzka została bez pastucha; musiał Sydor syna zastąpić; nie puszczo Kalenika na zarobek, bo roboty przybywało z dniem każdym.

Zapanowała też jawna wojna między sąsiadami.

— Wasze szczęście, że w środku wsi siedzicie — odgrażał się Sydor — inaczej, tobym ja was urządził!

— Psie plemię, dworskie pokurcze! — krzyczał Sacharko. — Sądów wam chce się, za jabłka chłopca ciągacie po turmach. Popadniecie w moje ręce kiedy, to was ze skóry podzieram!

Huce wrzeli, ale, hamowani przez ojca, milczeli na łajanie i pogroźki.

Kalenik jeden nie odzywał się z niczem.

Wieczorem słuchał klątw i planów zemsty, i tylko, spluwając, dodawał:

— Żeby do jesieni poczekali, a to w roboczy czas, jak na złość, włóczą!

Ot, tobie i jabłka i ryzyka! Rad ja teraz, że trus!

— Tyby rad był, żeby Kiryka zabili może — warknął Sacharko.

— Jakby było sądzone, toby ubili! I warto, bo siekiere nie godzi się rzucać w głowę.

— To tak? Za Hucami trzymasz, ty, łotrzel Brata tobie nie szkoda!

To wynoś się z chaty do Huców, won! — krzyknął Sydor.

— Czegoż od niego chcecie? — wtrąciła Tatiana. Tak, słusznie mówi. Chłopiec winien, że kradł, to i cierpi. A jak Kalenikowi teraz trzeba za dwóch robić, to go złość obejmie. Wy to, wy gadacie złość, a on milczy...

— Coto, kradł! — oburzył się Sydor. Dziecko ze swawoli po jabłko poszło, — to kradziez.

— Ale! dziecko: a dorosłego omal nie ubiło! Dobra to swawola! — zaśmiała się Tatiana. — Żeby tak u mego ojca, toby go zbił do pół śmierci, zamiast bronić.

— A tobie, hultajko, radość, że, w więzieniu siedząc, koszuli nie zmieni i chleba nie zje! Tobie byle nie prac, nie robić, ino jeść i spać! — zawołał Sacharko.

Kobieta, schylona właśnie nad balią, w której prała bieliznę, podniosła twarz spoconą.

Zawrzało w niej oburzenie na krzywdę.

Spokojna, łagodna, była wzorem pracowitości. Jeśli Kalenik za dwóch, to ona pracowała za pięć. Wstawała pierwsza, kładła się ostatnia, miała na głowie opranie siedmiu osób, oszycie ich, nakarmienie; miała wieprza, len, żniwo, — tyśiące drobnych i uciążliwych obowiązków gospodyni.

Nie słyszał nikt jej narzekania, płaczu, ani krzyku; między obcymi wstydziła się okazać za-

męczenie i o honor swój była ambitną, i tylko jeden Kalenik trud jej rozumiał i często dopomógł, a sąsiedzi chwalili.

Teraz na tę niesprawiedliwość wybuchnęła raz pierwszy potokiem długo zbieranej męki i udręczenia.

— Hultajka? ja? spać lubię? jeść?! A kiedy ty mnie budził, a kiedy ty mnie widział jedząc! Tobie gotowe daj, i strawę i koszulę; niby to robisz, jak za napaść, i jeszcze wymyślasz! Z mego płótna twoja bielizna, z mego żyta twój chleb: a ty mi będziesz, szelmo, przyganiał! Jak starce byliście bezemnie: a teraz, kiedy was poratowałam, hultajką mnie nazywasz! Ty sam hultaj, a twój ojciec złodziej i pijak, a Kiryk wart turmy, a ojciec lepszego!

— Milcz, wiedźmo! — porywając się z ławy, krzyknął Sacharko.

— Bo nie gadaj, a bij! — dodał Sydor. — Będzie ta ona nas uczyć i przezywać! Za mały czas, to cię kijem przetrąci, jak raz nie naucysz kto pan!

— Radź mu, radź! — krzyknęła Tatiana. Zemną zacznie, a na tobie skończy! Będzie i jemu, jak Kirykowi. U was to swawola — mordowanie!

Sacharko wpadł na nią, zdarł namitkę, porwał za włosy i począł okładać pięściami.

Kobieta, silna i młoda, broniła się, ile mocy, przewrócili balię z ukropem, oparzyli Saka, drzemającego na ziemi, i szamotali się zajadle, jak zwierzęta.

Wreszcie Tatiana wyrwała się mężowi, rzuciła się do drzwi, Kalenik je prędko otworzył i wypchnął ją na podwórze.

Zaspany Sacharko już nie gonił, zadawałniając się całą litanią obelg i okropnych przymiotników.

Sydor śmiał się, uszczęśliwiony.

Zapomniano o gniewie na Kalenika.

Parobek z chaty wysunął, odurzony wrzawą, bojąc się, by złość nań nie spadła.

Na przyźbie u Huców rekonwalescent Karpina siedział z Olenią.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Poświętecznym, parotygodniowym wypoczynku, Towarzystwo Muzyczne powróciło do swej działalności artystycznej i pierwsze zaczęło dostarczać miłych wrażeń lubownikom koncertowej muzyki, ciesząc się przywilejem zgromadzenia w swych salach zawsze licznych słuchaczy. Pierwszy w tym roku większy swój koncert rozpoczęło kwartetem Beethovena op. 18 Nr. 1, którego wykonawcami byli pp: Noskowski, Goebelt, Jankowski i Rzepko. Smyczkowy ten komplet od niedawna złożony, przedstawia już obecnie siłę zbiorową stojącą na wysokości trudnego zadania, jakim jest sumienne interpretowanie dzieł klasycznych w ich stylu czystym i szlachetnym. Z solistów przyjęli udział w koncercie: panna Szlezygier i pani Hochedlinger. Panna Szlezygier odśpiewała arya Pizia z op. Hugonoci, Rannek i Wieczór—Munchheimera, Pieśń Moniuszki i Calandrinę—Jomello; to ostatnie dzieło w szacie przykrojonej nieodpowiednio do swego typu, zrobiło mniej udatne wrażenie, albowiem wszelkie na efekt obliczane przeróbki starych zabytków sztuki zwykliśmy uważać jako profanację. Jestto zresztą jedyne *ale*, które ośmielamy się wtrącić mówiąc o występie sympatycznej artystki, dodamy raczej, iż gorące brawa i szepty uznania, raz jeszcze złożyły jej dowód, jak publiczność ją ceni i utraty jej żałuje. Pani Hochedlinger, pianistka, zaprodukowała grę bardzo spokojną, w znacznym stopniu wyrobioną. Usłyszeliśmy Waryacje Brahmsa na temat Paganiniego, dość suche, mówiąc nawiasem, i nieodznaczające się bogactwem pomysłów, zapewne wskutek niefortunnego

wyboru tematu, to też pomimo szerokiego pola popisu, jakie w nich znalazła wirtuozka, więcej podobały się: Serenada hiszpańska i Galop Rubinsteina i nad program dzielny Mazur Noskowskiego. Muzyczną część dopełnił chór Towarzystwa, zasilony zastępem nowych sił, które, od niedawna się ucząc, okazują wybitne rezultaty karności i zgody. Trzy pieśni Noskowskiego: W leście, „Zuczek“ i „Zielone Święta“, brzmiały bardzo składnie a nawet potężnie, ale bo też i melodia sama, że tak powiemy, wpadająca w ucho, ułatwia zadanie najmniej umuzykalnionej śpiewaczki korporacji! Zakończenie wieczoru stanowił dyalog Dancourt'a p. t. „Kobieta“ wypowiedziany przez p. p. Mosz i Zejdowskiego. — W następną Srodę przypadł mniejszy koncert Towarzystwa, czyli jeden z tych, na których urządzenie dyrektor daje *carte blanche* innym dobrej woli artystom. Budzi to współzawodnictwo w swoim rodzaju nader pięknie pożyteczne; każdy stara się podnieść zainteresowanie publiczności, czy-to oryginalnym układem programu, czy wydobyciem na jaw rzeczywiście utalentowanych amatorskich jednostek. Otóż tym razem p. Al. Poliński dał nam „Wieczór pieśni“, starannie zebrawszy siły odpowiednie do zaprodukowania tego działu muzyki wokalne, z wymaganą precyzją i wdziękiem. I pomimo braku dywersji w programie z wielkiem zajęciem słuchało się różnobarwnych głosów i śledziło odmienne sposoby interpretacji. Z grona wykonawców musimy najpierw wyróżnić panią Durand, która swój piękny, dźwięczny mezzosopran umiejętnie nagina do odcieni delikatnych i sztukę ze szlachetnym pojęciem traktuje. Odśpiewała ona Aryę z Op. „Cinq Mars“, „Prière“ Gounod'a i „C'est mon ami“ Maryi Antoniny. Potem mieliśmy przyjemność usłyszeć dawno niewidzianą na estradzie Towarzystwa pannę Fanny Kleber, a piękne oddanie pieśni Żeleńskiego „Posyłka“ i „Vieille chanson“ Bizeta przypomniało słuchaczom, że artystka panna Kleber zawsze jeszcze na szczerze uznanie zasługuje. O pannie Kwiecińskiej już pisaliśmy, chwalać i głos i szkołę, nie też nie mamy do zarzucenia wykonaniu pieśni Eckerta, Każyńskiego i Zarzyckiego, duet zaś Mendelssohna, który p. Kwiecińska odśpiewała wraz z panią Durand można śmiało nazwać koroną miłego wieczoru.

W dalszym ciągu mówiąc o Towarzystwie, zaznaczymy drugi z kolei, oraz trzeci większy koncert, jaki się odbył w tydzień później. Na poprzedzającym dała się słyszeć panna Wąsowska w przeddzień wyjazdu swojego za granicę. Gdybyśmy nawet nie znali tej gry starannej i wysoko już pod względem technicznym wyrobionej, to sam wybór programu kazałby nam liczyć się z wirtuozką, która, nie poprzestając na utworach pełnych błyskotliwego efektu, wglębia się z zamiłowaniem w dzieła tak trudne i poważne, do jakich należy Sonata Beethovena Op. 109. Zawile treścią, ujęte w fantastyczną niemal formę, dzieło to stanowi próbiez talentu dla wielu wirtuozów. Panna Wąsowska wywiązała się bardzo dobrze z zadania, oddając jasno i wyraziście myśl twórcy i piękno jakie weń zaklął swoim natchnieniem. Etiuda Rubinsteina, „Isoldens-Liebestod“, Wagner-Liszt i „Campanella“ Paganini-Liszt, posłużyły koncertancie do uwydatnienia dzielności techniki; „Berceuse“ Szopena, lubo także z wielkiem wykończeniem technicznym odegrane, mniej przemówiło do słuchaczy, nawykłych czerpać z utworów szopenowskich, słodką poezję, która płynąć musi z każdej frazy muzycznej *con amore* wystudyowanej i wypieszczonej. Śpiew solo podjęła pani d'Orio i najpiękniej uwydatniła swój sympatyczny głos w Arioso z Op. „Cavalleria Rusticana“ Mascagniego, oraz w pieśni Żeleńskiego „Dzika róża“ zaśpiewanej tak, iż sam wybredny kompozytor uczułby się zadowolonym. Chóry Towarzystwa wykonały „Modlitwę wiosenną“ Niewiadomskiego, która przeszła bez wrażenia jako utwór mniej udatny; natomiast bardzo zajęło: Larghetto z kwintetu Mozarta, w którym prym trzymał zdolny i okazujący szybkie postępy, uczeń klas instrumentalnych Towarzystwa p. Maurycy Szulc. Rozbudzoną uwagę słuchaczy, aż do końca wieczoru zatrzymało Intermezzo Noskowskiego peł-

ne życia i barwności a wybornie w kwintecie smyczkowym odegrane.

Następny koncert urozmaicony był popisem panny Alicji Reinshagen, której gra w kilku słowach da się określić. Jest pewna doza techniki, sumiennosc, czystosc uderzenia, ale chwiejne, nieśmiałe i nieoparte na gruntownym pojęciu interpretowanie dzieł poważniejszych naraża pannę Reinshagen na to, iż, nie tylko krytyk, lecz każdy przeciętny meloman o smaku nieco wykształconym staje wobec niej na stanowisku — powagi sądującej. Szereg mniejszych utworów lepiej się udał wykonawczyni. Jako nowości usłyszeliśmy „Chór wieśniaków z op. Cavalleria Rusticana“ Mascagniego, wykonany przez chór Towarzystwa, a pan Szczepkowski między innymi rzeczami odśpiewał arya z wyżej wspomnianej opery, która jest znowu zaznaczeniem reakcji i krokiem postępu w muzyce włoskiej.

Z numerów koncertu zajmujących swojemi rozmiary okazałe miejsce, trzeba wymienić: podwójny kwartet Spohra, którego doskonałe wykonanie podniosło kompozycją dość słabą w idei a cenią dotąd dzięki nader umiejętnie i wykwiennie opracowanej formie.

Rozpisałiśmy się o koncertach Towarzystwa Muzycznego więcej niż kiedykolwiek, szkicując obraz jego działalności najdosadniej do ogółu mówiący; ale przyjemność chwilowa, mniejsza lub większa rozrywka, są to tylko zewnętrzne objawy życia towarzystwa, objawy, poza którymi kryje się czynna i wytrwała praca, mająca na celu rzeczywiste umuzykalnienie szerszego ogółu i wytworzenie stałych sił wykonawczych, bez których trwanie i rozwój podobnej instytucji nie są możliwe. Ten właśnie kierunek zawdzięcza Towarzystwo Zygmuntowi Noskowskiemu, który od lat dziesięciu, bez przerwy, z trudem a zamiłowaniem prowadzi je ku postępowi i podstawy jego ugruntowuje. Artysta nawskroś, którego gwiazdą przewodnią jest praca twórcza, znajduje wszelako dość czasu, by zająć się gorliwie sterem mu powierzonym i ubogiemu pod wielu estetycznymi względami społeczeństwu wytworzyć rozrywkę w zakresie najswobodniej mogącej się u nas krzewić sztuki.

To też wiedzione serdeczną wdzięcznością Towarzystwo Muzyczne postarało się w tym roku, wedle sił uczyć zasługi swojego kierownika, za sposobną ku temu chwilę obierając nadchodzącą właśnie 25-cioletnią rocznicę jego artystycznej działalności. Liczne zaś grono artystów i przyjaciół pośpieszyło zjednoczyć się w tymże celu wraz z Towarzystwem. I oto, dnia 17-go Stycznia odbyła się uroczystość Jubileuszowa skromna w pozorach, lecz bogata swą treścią duchową i podniesiona tętnem uczuć prawdziwych.

W gorących przemowach, które jedne po drugich następowały, rozwinął się niemal cały obraz życia i pracy Noskowskiego; a wątek to jasny i piękny, jakkolwiek nie samymi jedwabnemi niemi szczęścia przetykany!

Trzeci w tym sezonie symfoniczny koncert Dyrekcji Teatrów mógł zadowolnić wszelakie upodobania. Klasycyzm w całej swej czystości i szlachetnego ducha majestacie, przemawiał do słuchaczy dźwiękami czwartej Symfonii Beethovena, B'dur, która należy do pierwszej epoki twórczości mistrza.

Strojne w szatę o kolorycie spokojnym a prze-zroczym jak fala co bezchmurne niebiosy odbija, dzieło to wprowadza myśl w pogodne świąty i rzeźwi jakgdyby wiosennym, zdrowie niosącym powiewem.

Gdy ucichło, ze czcią przynależną twórcy wykonane, zostaliśmy przetrzeni w dziedzinę całkiem odmiennej epoki i odmiennych polotów. Miejsce łagodnych marzeń zajął podziw i olśnienie nerwów, razporaz jakby iskrą elektryczną wywoływane. Znaleźliśmy się wobec wirtuozki o tak niepospolitych zasobach techniki i siły, że trudno pojąć jak ręka ludzka a do tego niewieścica, może równie potężne tony z fortepianu wydobyc. A jednak pani Carreno przed którą teraz kłękam świat muzykalny, dowiodła, iż nie istnieją trudności, którychby nie można pokonać, iż we wszelkie środki techniczne i efekty siły

z jakimi nas dotąd najznakomitsi fortepianiści zapoznali, nie były jeszcze ostatniem słowem tego rodzaju mistrzostwa. Zaiste, wśród zdumienia, jakie wywołują dźwięki energiczne, nieskalane czyste, jędrne jak wibracja szlachetnego metalu, wśród zachwytów nad sprężystością ręki, nad crescendo tryłów doprowadzonych do maximum szybkości i mocy, słowem wśród podziwu nad doskonałością tych wszystkich realistycznych akcesoryów, niemałe jest zadanie, wniknąć w duchową, idealną stronę gry pani Carreno. Jeżeli jednak owa idealna strona nie bije w oczy, nie ujawnia się odrazu, jeżeli dopiero szukać jej trzeba, to już chyba najlepszy dowód, że stoi na dalszym planie, podrzędne zajmując stanowisko.

Pierwszym numerem który, posłużył za popis artystce, był koncert Griega, dzieło romantyczne bardzo symfonicznie traktowane, rozwiewne nieco, ale pełne prawdziwej poezji w tematach jakie się przezeń wiją. Fortepian nie ma tam swej partyi samodzielnej lecz tylko jeden z bogaciej traktowanych czynników instrumentacji stanowi; wyodrębnił się wszakże pod palcami pani Carreno brawurową precyzją, siłą, jędrnością frazowania, cała zaś poezja sagi północnej, mitycznych podań echo z pewną zadumą falami tonów płynące, dochwytnymi były tam, gdzie milknęła fortepian a rozbrzmiewały inne instrumentalne dźwięki w ślicznie, subtelnie wycieniowanych okresach.

Dyamentem w programie wirtuozki był Polonez Webera w układzie Liszta. Nie jest on kompozycją do odczucia trudną, a na tle jego wyrazistej rytmiki już sam przepyszny tryl pani Carreno, tęczowe blaski mógł nam rozniecić. W zamian za entuzjastyczne brava, artystka raczyła obdarzyć słuchaczy nad program: Etiudę Henselta, Walcem Rubinsteina, Kolysanką Szopena i Staccato-Caprice Vorgritseh'a.

Orkiestra w drugiej części koncertu powołaną była do traktowania *en relief*, filozoficznych poglądów Wagnera, na stosunek miotanej niepokojem duszy ludzkiej do tajemniczej a ponurej zaświatowej potęgi. We wspaniałej, o świetnych barwach uwerturze do tragedii „Faust“ widzimy jakoby symfoniczny prolog wielkiego poematu.

Na ostatni numer dano nam „Divertissement“ Lalo, w treść nie bardzo zasobne; że zaś instrumentacyjna wprawa nie nagradza braku świeżych idei, przeto oprócz dosyć wdzięcznego „Andantino“ całości wysłuchano oziębło.

Teatr letni z przyczyny dokuczliwej aury nie zbyt nęci zwolenników sceny, chyba że jakieś dawno nie grane dzieło ukaże się na afiszu. Do takich należała opera: „Bal Maskowy“ Verdiego, gdzie role zostały rozdane samym miejscowym artystom. Amelią przedstawiła pani Dowiakowska, artystka *dal capo al piede* nie lekceważąca żadnej nutki w śpiewie, żadnego ruchu w akcyi, ztąd każda postać przez nią odtworzona, porywa życiem i prawdą. Pan Bruszewski w roli Ricarda, pozbywszy się zwykłej tremy, efektywnie zaprodukował swój piękny głos, a p. Bernhart jako Renato rozwinął w śpiewie dużo energii i znalazł wiele bardzo trafnych akcentów. Wrózką była panna Babińska, Oskarem zaś panna Lewicka i obie nader się przyczyniły do ogólnego efektu tej wdzięcznej opery, która pod dyktando p. Rzebiczką szła jak zazwyczaj gładko i zręcznie.

Juljusz Stattler.

Ze znalezionych kartek.

(Dalszy ciąg).

D. 17-go Stycznia.

Ciotka jest osobą niesłuchanie lubiącą towarzystwo. Dzięki jej, otoczeni jesteśmy wirem

światowym, od którego właśnie uciec mieliśmy ochotę. W parę dni zaznajomiła się już z lady Douglas, w dwa tygodnie przyjmowała u siebie ze dwadzieścia osób z pomiędzy bliższych i dalszych sąsiadów. Zabawna jest w doborze towarzystwa. Człowiek nieutyłowany nie ma prawa przestąpić progu jej salonów. Zapomina, biedaczka, że jej własne nazwisko rodowe, prócz dobrego, dawnego szlachectwa, żadnym więcej splendorem nie jaśnieje. Przez wzgląd na ojca zrobiła wyjątek dla jednego doktora Wenera. Sądzi naturalnie, że uhonorowała go niesłuchanie; tymczasem on zachowuje się tak, jakby o tytułach, różnicach społecznych i tym podobnych wynalazkach ludzkości nigdy nie słyszał.

D. 19-go Stycznia.

W gaju oliwnym, przylegającym do willi, wyprawiała nam dziś ciotka coś w rodzaju pikniku.

Nie miałam ochoty uczestniczyć w tej zabawie; ale cóż! przeciw energii Cioci żadna baterya argumentów nic nie zdziałała. Zapewniała mnie, że będę ozdobą zebrania, że dla wielu osób, a zwłaszcza dla Gucia, nieobecność moja rzuci czarny kir na tę chwilę wesołości.

Niech jej Bóg przebaczy wszystko, co powiedział! Nie było tam ani jednego słowa prawdy.

Ciotka zaprosiła całe sąsiedztwo. Powinna być zadowoloną; bawiono się niezłe w tem różnorodnym i różnobarwnym towarzystwie.

Do siódmej wieczorem byliśmy na powietrzu; następnie przeprowadzono nas do mieszkania, gdzie lady Douglas obdarzyła słuchaczy prawdziwie artystycznie wykonanym nokturnem Fielda na fortepianie. Za pośrednictwem muzyki daje się ta kobieta poznać wyraźniej. Cała jej indywidualność ujawnia się w odrębnym, pełnym spokojnej melancholii sposobie wykonywania niektórych poematów dźwiękowych. Sympatyczna to istota, ale ten spokój wydaje mi się jakimś nie-naturalnym zjawiskiem.

Proszono Wandę następnie o zaśpiewanie czego. Ona tylko polskie, skromne piosenki dobrze śpiewa, i tym razem opiekuńczy jej geniusz ostrzegł ją widać od popisywania się z jakąś aryą wyższego stylu—Moniuszkę śpiewa z niesłuchanym wdziękiem.

Ciekawą dysputę naukową mam do zanotowania.

Po herbacie, nie wiem kto i w jaki sposób, wprowadził na stół kwestyą dziedziczności chorób piersiowych, ku wielkiemu niezadowoleniu mego ojca, który takich tematów wszczynać wobec mnie nie lubi. Wywiązała się tedy ożywiona sprzeczka między doktorem Wernerem a baronem de Beaufremont.

Doktor z imponującą siłą dowodził, że rządy wszystkich mocarstw powinny wydać zakaz wchodzenia w związki małżeńskie osobom dotkniętym chorobą, którą nauka za dziedziczną uznala.

— Panie doktorze, nauka w tej kwestyi nie ma jasno wyrażonych poglądów, waha się, zdania są podzielone. Większość lekarzy w ostatnich czasach oświadczyła się przeciwko hipotezie dziedziczności suchot.

— Przepraszam: czy pan oddawałeś się specjalnym badaniom tego przedmiotu?

— Tak jest—odpowiedział baron z prostotą.

— I jakież były rezultaty pańskich poszukiwań?

— Rezultaty były rozmaite: ostatecznie otrzymywałem prawie tyle danych za dziedzicznością suchot, co i przeciwko niej.

— To mi dowodzi, że obserwacje pańskie robione były na małą skalę, i pozwól pan sobie powiedzieć, że, przy wspomnianych wyżej okolicznościach nie możesz mieć wyraźnego i stanowczego na tę ważną kwestyą poglądu. Co do mnie, dziesięć lat życia poświęciłem studyowaniu tej choroby we wszystkich jej fazach i stopniach rozwoju. Nie będę ukrywał, że miałem do pracy tej osobliście prywatne bodźce, i że gorąco życzyłem sobie aby wyniki moich badań wypadły dla teorii dziedziczności raczej ujemnie, niż dodatnio. Sądzę, że po tem mam prawo do postawienia tego lub owego twierdzenia. Suchoty są niezaprzeczalnie

chorobą dziedziczną. Na 100 badanych przezemnie indywidualów pięć zaledwo znajdowałem takich, które chorobę tę same przez się nabyły; inne brały ją w spadku po jednym lub drugim z rodziców. Jeżeli nie zdecydowaną chorobę, to przynajmniej usposobienie do niej przynosili na świat ze sobą. Usposobienie takie to tło, na którym nędzą, troską, silne wzruszenia moralne z pewnością wyhaftują suchoty. Przy spokoju, pomyślności i umiejętnem odżywianiu organizmu może się usposobienie takie nie rozwinąć; ale wypadki to wogóle rzadkie.

Francuz, na jednym punkcie pobity, nie myślał bynajmniej kapitulować.

— Przypuśćmy nawet, że słuszność jest w tym wypadku przy panu — rozpoczął — to przecież w imię ludzkości protestować muszę przeciwko pozbawianiu nieszczęśliwych, dotkniętych pierśsiową chorobą, uciech, do których wszyscy równe mają prawo. Więc miłość, więc rodzina, to wszystko nie dla nich! Rozkaz urzędowy rozdziela kochającą się parę narzeczonych, ponieważ u jednego z nich dostrzeżono ślady choroby. Ależ to potworność! Czyż nie jest to poprostu skazywaniem na śmierć ludzi, którzy we wzajemnem przywiązaniu czerpaliby może ochotę i siły do życia! Jestem zdania: Dajcie ludziom szczęście, a dacie im i zdrowie. Ale wy, Niemcy, wszystko dla względów państwowych poświęcić jesteście gotowi.

Tu wmieszał się do rozmowy Janusz.

— Tak jest — powiedział — pan baron ma słuszność, i nie ze stanowiska nauki, lecz jako ludzie poprostu powinniśmy wszyscy przyklasnąć jego słowom. Będzie to wziąć w obronę sprawę nieszczęśliwych i pokrzywdzonych, którym niemiecka praktyczność i zimny rozsądek odmawiają każdej jaśniejszej chwili w życiu. Zdaniem mojem, nie okrutniejsi są Chińczycy, gdy słabe lub ułomne niemowlęta zawczasu na śmierć skazują. Czynią to przynajmniej wtedy, gdy w istotach tych nie rozwinęła się jeszcze ani myśl ani uczucie.

— Może wróciłibyśmy do domu? tu tak nudno! — szepnął mi ojciec.

Spojrzałam na doktora. Wszyscy mniej więcej łączyli się ze zdaniem barona. Plum zawsze pociągnął się dając gorąco i śmiało wypowiedzianym słowom.

Niemiec mileżał czas jakiś, z sarkastycznym uśmiechem patrząc na przeciwników. Nakoniec zacierając ręce rzekł:

— Wobec tak postawionej kwestyi istotnie bronić się trudno. Potępiono mnie w imię ludzkości i miłosierdzia. Ale po odpowiedź odsyłam panów do dzieci suchotników, do owych nieszczęśliwych ofiar, którym jaśniejsze chwile ich rodziców zapewniły byt na tym padole płaczu, którzy przychodzą na świat z zarodkiem śmiertelnej choroby, wloką rozpaczliwy żywot przez lat kilka, kilkanaście, a potem usychają u wstępu do życia. Zajrzyjcie w ich dusze: a zobaczycie tam tyle goryczy i rozpacz, taką mękę istnienia, że wam ostatecznie samym na myśl przyjdzie, iż miłosierdzie tkwi właśnie w niedopuszczeniu, aby istoty takie wlokły smutną i krótką pielgrzymkę po naszej ziemi.

Przy tych słowach złośliwe błyski znikły z oczu profesora; widziałam go pierwszy raz smutnym i poważnym. Milczenie zapanowało w towarzystwie. On podniósł się, pożegnał gospodynię, podał rękę mnie i oddalił się śpiesznie.

— Podzielim w zupełności pańskie zdanie — rzekłam, żegnając go.

— Byłem pewny, że pani przyzna mi słuszność — odpowiedział z naciskiem.

Po jego odejściu nie wrócono już do poprzedniego tematu.

Jaka ja po tym wieczorze miałam nieznośną gorączkową noc! Dwie myśli wirowały nieustannie w moim biednym mózgu: jedna—Matka moja umarła na suchoty; druga:—Egoizm moich rodziców zgotował mi egzystencją straszną bez wyjścia, bez nadziei.

Napróżno odpędzałam wnioski, które myśl moja wyciągnęła z usłyszanej dyskusyi. To trudno, prawda toruje sobie drogę poprzez wszystkie zawady uczuć i skrupułów.

D. 25-go Stycznia.

Lekarz mój twierdzi, że należy mi się najpierw wyleczyć z kaszlu, a potem przyjdą siły i zdrowie. On ręczy za to. Jabym mu wierzyła z ochotą; ale cóż kiedy ta pierwsza część programu jakos się spełnić nie może! W dzień kaszel przestał mnie dręczyć, ale w nocy duszę się okropnie. Przez kilka godzin siedzę na łóżku, zimnym potem oblana, i zazdroszczę tym, co cicho i spokojnie śpią. Oni nawet nie wiedzą, jaki udział szczęścia dostał się im w życiu.

Sądziłam, że ojciec nie wie o tej nocnej męczarni mojej. Pokój jego tak daleko od mego, a przytem przy mnie mówił do doktora:

— Niewymownie mi cie cieszy, że kaszel jej zmniejsza się coraz bardziej.—

Nie przeczyłam: naturalnie wiem, że mnie ozdrowić nie można, więc dla czegoż mam kochanemu ojcu jedyne jego zadowolenie zatruwać?

Dzisiejszej nocy przekonałam się, że biedny ojciec mój grał komedią, dlatego, aby we mnie jakątą wlać otuchę.

O pierwszej, jak zwykle, przyszedł atak kaszlu; z godzinę już morodowałam się, gdy z drugiego pokoju doszedł mnie odgłos jakby powstrzymanego łkania.

Zdziwiona i wzruszona, wstałam z wysiłkiem i, wrzuciwszy ranną suknię na siebie, poszłam zobaczyć, co za duch tam w drugim pokoju pokułuje.

Na kanapie zastałam ojca z twarzą ukrytą w dłoniach. On tam widać wszystkie noce przepędzał. Na dźwięk poruszonej klamki porwał się przerażony i przedewszystkiem szybkim ruchem otarł łzy płynące mu po twarzy. Zdążyłam je przecież zobaczyć.

— Co się stało, moje dziecko, dlaczego wstałaś? — pytał z niepokojem.

— Nic złego, kochany ojcze, usłyszałam szmer w salonie i chciałam dowiedzieć się: kto tu jest?

— A widzisz, to twój stary ojciec takie ma romantyczne usposobienie, że mu się zachciewa błądzić po ciemnych pokojach, przy blasku księżycy! — i zaczął śmiać się takim samym przymuszonym okropnym śmiechem, jak wtedy, gdy pierwszy raz dostałam krwotoku, a on mnie zapewniał, że to właśnie pomyslny zwrot w mojej chorobie nastąpił. Ucałowałam mu ręce i prosiłam, by poszedł do siebie.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko, ale połóż się i ty, zaziębisz się, Anielko moja.

Odeszłam, nie chcąc mu robić przykrości; jeszcze chwila, a byłby w obecności mojej łkaniem wybuchnął.

Mój ojcze, ty płaczesz! Nieszczęśliwy jesteś i ty! ale na co te łzy?! One dziecku twemu nie dadzą ani szczęścia, ani miłości ludzi, ani spokoju ducha!

Czy nie lepiej było nie dawać mi wcale tego utrapionego istnienia?!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Cieplik księżycy i gwiazd. — Tajemnica Kocha. — Tuberkulina. — Koniec świata. — Enzymy. — Podróż balonem do bieguna.

Angielski fizyk C. V. Boys ogłosił zajmujące sprawozdanie o dokonanych doświadczeniach nad cieplikiem księżycy i gwiazd.

Dotychczas posługiwano się w mierzeniu tak nieznacznych ilości ciepłika, jakie wydają księżycy i gwiazdy, narzędziem nadzwyczaj czułym, zwanem balometrem. Boys i inni badacze zastosowali w swoim przyrządach nitki kwarcowe,

które okazują się tak czułymi na działanie ciepłika, że przewyższają w tym względzie balometry. Owe „radiomikrometry“, jak je nazwał Boys, składają się z pierścienia zrobionego z dwóch metali, posiadających odmienne własności termoelektryczne, i połączonych drutem miedzianym. Pierścień taki zawieszony jest na nitce kwarcowej, między dwoma biegunami silnych elektromagnesów. Z chwilą, gdy na miejsce spojenia pierścienia podziałają promienie ciepłikowe, powstaje w nim strumień i sprowadza zбочenie. Potrzebna do tego ilość ciepłika jest tak minimalną, że tego rodzaju przyrząd okazał się przydatnym do mierzenia ciepła wydzielanego przez księżycy i gwiazdy. W tym celu zebrał Boys za pośrednictwem reflektora promienie ciepłikowe i rzucał je na pierścień, a właściwie na miejsce spojenia metali. Rozumie się, zarządzono przedtem wszelkie możliwe ostrożności, aby otaczająca temperatura nie wywierała wpływu, a także zbudowano przyrząd do mierzenia zбочeń pierścienia.

Pomijamy tu liczne szczegóły co do samego urządzenia doświadczeń, a powiemy tylko, że odbywały się one w otwartym ogrodzie, we Wrześniu roku 1888, w Kwietniu 1889 i w tymże miesiącu 1890. Rezultaty doświadczeń uczonego angielskiego wykazały, że nieoświecona a więc ciemna część księżycy ani śladów ciepła nie wydziela; przeciwnie zaś, jasna część sprowadzała w pierścieniu zбочenia. Badając księżycy w pełni, przepuszczał Boys najprzód promienie przez szkło na miejsce spojenia, a następnie szkło usuwał i promienie padały wprost na to samo miejsce, skutkiem czego udało mu się otrzymać z odchyleń dwie zupełnie symetryczne krzywizny, które stopniowo wznoszą się do pewnego *maximum*—odpowiadającego środkowi księżycy w pełni—a następnie opadają.

Zajmującym jest wielce to, że obie połowy tarczy księżycy wydzielają jednakową ilość ciepłika, pomimo, że jedna z nich oświecana była przez słońce od 7 do 14 dni. Dalej wykazują krzywizny, że ciepło otrzymane przez tafelę szklaną odpowiada 25 proc. pochłoniętego ciepłika. W kilka dni później wykonane doświadczenie nad częściami księżycy, na które słońce przestało działać, nie wykazały żadnych zбочeń w pierścieniu.

Co do badań nad ciepłem, wydzielanem przez gwiazdy, to z poszukiwań Boys'a pokazuje się, że ono nadzwyczaj jest słabem, gdyż przy pomocy tego nadzwyczaj czułego przyrządu nie udało się go wykazać. Doświadczenia ograniczały się do świetlnych miejsc w Pegazie, Oryonie, Andromedzie, Aldebaranie, Kastorze, Kapelli, Saturnie, Marsie, jako też do innych znaczniejszej wielkości gwiazd. Wszystkie one nie wykazały zбочeń, chociaż badania księżycy dowiodły, że radiomikrometr czułym już jest na 1/150.000 promieniowania ciepłika. Z tego pokazuje się, że zmierzenie ciepłika promieniowanego przez gwiazdy, pomimo zapewnień innych uczonych, będzie przedstawiało nadzwyczajne trudności, nawet wówczas, gdy czułość narzędzia jeszcze wzrośnie, a co Boys ma nadzieję uskutecznić, i gdy przy pomocy specjalnie zbudowanego teleskopu i zdjęć fotograficznych z najslabszych zбочeń można będzie przeprowadzić jeszcze ściślejsze badania. Sądzi nawet, że w ten sposób uda mu się wykazać miejscowe zmiany ciepłikowe na księżycu, których przy pomocy obecnego sposobu badania nie osiągnął. O wynikach tych ze wszechmiar ciekawych badań mamy być już wkrótce powiadomieni.

* * *

Po dwóch miesiącach, od chwili ogłoszenia o odkryciu swego środka przeciwko gruźlicy, postanowił prof. Koch wyjawić tajemnicę i uczynił to za pośrednictwem *Deutsche Medicinische Wochenschrift*. Dowiadujemy się tedy, że „Kochina“ jest wyciągiem glicerynowym czystych hodowli laseczników gruźliczych. Wiadomo jest rzeczą, że wszelkiego rodzaju bakterye, rozwijając się, wyrabiają pewnego rodzaju substancją, z której znaczna część oddziaływa szkodliwie na tkanki organiczne i na inne rodzaje bakteryi.

Otóż, według prof. Kocha, otrzymany przez niego wyciąg glicerynowy ma działać zmartwiająco na tkanki zmienione gruźliczo, że ma przytem zabijać, lub przynajmniej osłabiać, laseczniki. Substancją, posiadającą tę własność, uważa uczony za derywat (pochodzącą z) ciał białkowych, nie zalicza jej jednakże do rzędu tak nazwanych toalbuminatów.

To wstrzymujemy się dziś jeszcze z przytoczeniem różnorodnych poglądów na nowy środek; niepodobna przecież nie wspomnieć o tem, że jeden z najznakomitszych lekarzy niemieckich, prof. Virchow, dyrektor instytutu anatomo-patologicznego w Berlinie, po dokonaniu autopsji na 21 trupach, zmarłych po przeprowadzeniu kuracyi metodą Kocha, zapatruje się na nią wielce sceptycznie. Znalazł on bowiem bardzo znaczne przekrwienie niektórych organów, a prócz tego wytwarzanie się nowych ognisk gruźliczych. Wobec powątpiewania i innych lekarzy, a między innymi prof. Korczyńskiego z Krakowa, który nie mógł stwierdzić doniosłości diagnostycznej kochiny; dalej wobec tego, że z doświadczeń, robionych w szpitalach warszawskich, nie zdolano dotąd otrzymać żadnych dodatnich wyników, i wreszcie z tego względu, że kochina wywiera czasami nadzwyczaj gwałtowny wpływ na organizm—z tych powodów, powiadamy, należy z jej stosowaniem zachowywać wielkie ostrożności, dopóki doświadczenia nie wykażą jej nieszkodliwości.

* * *

Dr Bujwid ogłasza w przedostatnim numerze *Gazety Lekarskiej*, która ukazała się w tydzień po wyjawieniu tajemnicy Kocha, że udało mu się otrzymać płyn, który zaskrzyknęty choremu na wilka, miał wywołać podobne objawy jak kochina. Płyn ten nazwał dr Bujwid *tuberkuliną*. Otrzymał go w nieco odmienny sposób niż Koch, a substancją, działającą w nim, uważa za coś pośredniego między toalbuminatem a enzymą. Dr Bujwid zapewnia w swym artykule, że szczegóły otrzymania i działania płynu znane były prof. Baranowskiemu, d-rom Duninowi, Hoyerowi i Puławskiemu na dwa tygodnie przed ogłoszeniem składu płynu Kocha, że równocześnie opis metody i pewną ilość płynu posłał Pasteurowi, oraz zawiadomił o dokonaniu odkrycia departament lekarski.

Jeżeli dodamy do tego, że obecnie we Włoszech i Francji przystąpiono do doświadczeń ze wstrzykiwaniem krwi koziej, chorym na gruźlicę, przyznać potrzeba, że się zabrano energicznie do ulżenia cierpiącej ludzkości, a o ile usiłowania te uwieńczone zostały pomyslnym rezultatem, to dopiero przyszłość pokaże.

* * *

Na jednym z ostatnich posiedzeń Towarzystwa Geograficznego w Paryżu rozwijał obszernie p. Lapparent, geolog francuzki, swą teorią końca świata. Otóż, według tego uczonego, staniemy się pastwą ryb, albowiem utrzymuje p. L., że ląd stały rozplynie się w wodach otaczających go, które podmywają ustawicznie jego brzegi. Bądźcoby, jestto teoria zupełnie nowa, a więc oryginalna i osnuta na następujących danych, jak zobaczymy nie zupełnie fikcyjnych.

Stają do walki dwa żywioły: ląd stały i woda, która go powoli, lecz bezustannie, podmywa, a w końcu pochłonie w zupełności.

Co do oporu, jaki przedstawia ląd stały, to, przyjąwszy za rachubę wszelkie nierówności, wypukłości, można go uważać pod tym względem za jedną równą platformę, wystającą na 700 metrów nad powierzchnią morza.

Co do siły wody: stanowią ją oceany, morza, rzeki, jeziora i t. p., a także woda atmosferyczna, przyczyniająca się niemało do podmywania lądu. Podmywanie to jednakże nie wszędzie odbywa się z jednakową siłą, są nawet miejscowości, gdzie ląd zwycięża, i następuje tam przyrost gruntu.

W ogólności jednakże utrata odbywa się bez przerwy i to w takim stosunku, że w ciągu stu lat rozpuszcza się 1.5000 metrów sześciennych

ziemi na kilometr wybrzeża morskiego. Ponieważ zaś wybrzeży morskich mamy na naszym globie około 200.000 kilometrów, a zatem trzysta milionów metrów sześciennych, widzimy zatem, że w przeciągu jednego roku oceany pochłaniają około 0,3 kilometra sześciennego.

Przy pomocy zawilego rachunku dochodzi p. Lapparent do rezultatu, że skutkiem działania rzek, jezior i t. p. zostaje w ciągu roku podmytych 16 kilometrów kubicznych ziemi. W podobny sposób wykazuje ubytek masy ziemi na wysokości i przychodzi do wniosku, że ów ubytek roczny na wysokości 700 metrów wynosi 0,155 milionów rocznie.

Przy tych danych, wobec znanej obszerności powierzchni i wielkości kuli ziemskiej, dalsze obliczenia nie przedstawiają już wielkich trudności... W każdym razie, jeżeli nam tylko z tej strony niebezpieczeństwo zagraża, to jeszcze w Warszawie przez jakiś czas możemy spokojnie spać.

* * *

Ponieważ dziś toalbuminaty, ptomainy, enzymy są na porządku dziennym, pragniemy co do tych ostatnich w kilku słowach zapoznać łaskawych czytelników z odkryciem naszego rodaka dra Marcellego Nenckiego, profesora uniwersytetu w Bernie.

Otóż, według dotychczasowych badań naukowych, wszelkiego rodzaju istoty żyjące wydzielają z siebie pewien rozpuszczalny, silnie działający ferment, który nazwano *enzymami*, głównie zaś znajdowano je w najniższych organizmach, jak w wodorostach i grzybkach rozszczepkowych.

Enzymy charakteryzują się nadzwyczajną nietrwałością. Kwasy, alkalia, sole metaliczne, w mniejszym albo większym stężeniu, niszczą ich żywotność; podobnie działa traktowanie wysokiem. Nawet przechowywanie w stanie suchym, w zwykłej temperaturze, zamienia bardzo czynne enzymy na nierozpuszczalne, niewywołujące już fermentacji. Wysoka temperatura unicestwia je również. Enzymy posiadają jedno z zasadniczych zjawisk życia, t. j. wrażliwość, gdyż pod działaniem będąców termicznych, elektrycznych i chemicznych zachowują się one podobnie w pewnych razach, jak żywa protoplazma.

Nie podlega wątpliwości, że organizm nasz wobec tak różnorodnych bakterii chorotwórczych, posiada w sobie oręż, z którym staje z nimi do walki; można zatem przypuszczać, że owe tak łatwo zmienne i obdarzone w wysokim stopniu własnościami reakcyjnymi enzymy, stanowią jeden z owych oręży.

* * *

Aeronauci pp. Besançon i Hermite wybierają się w roku przyszłym w podróż do bieguna północnego balonem. Balon ich, objętości 15.000 m³, będzie napełniony czystym wodorem i ma posiadać skutkiem tego siłę dźwignienia 18.500 kilogr. Tkanka składać się ma z podwójnej warstwy chińskiego jedwabiu, pokrytej werniksem, nieprzepuszczającym gazu. Prócz balonu głównego aeronauci, zabrają cztery baloniki o objętości 50m³, które zostaną puszczane ponad biegunem w celu przekonania się o panujących tam prądach powietrznych. Cztery mniejsze balony, o objętości 350m³, dostarczać mają wodoru do zasilania głównego w razie potrzeby. Aby ten ostatni zbytnio się nie wzbijał, t. j. pozostawał w jednakowej od powierzchni ziemi odległości, a to w celu umożliwienia zdjęć fotograficznych, do balonu przytwierdzoną będzie ciężka łyżwa, która ma ślizgać się po lodach lub pływać po

wodzie i utrzymywać w ten sposób balon jakby ruchoma kotwica. Łódka zbudowana ma być z trzciny opatrzonej w stalowy pancerz. Prócz samych podróżnych i niezbędnych przyrządów podróżnych, mieścić ona w sobie będzie 8 psów, sianie, małą łódkę, oraz zapas żywności na miesiąc. Koszta wyprawy obliczają śmiało podróżnicy na 560.000 franków, a czas jej trwania na pół roku.

Dr. Józef Starkman.

Z bieżącej chwili.

— Oddział ornitologiczny Towarzystwa aklimatyzacji w Petersburgu, ma urządzić w lecie roku bieżącego sześć wycieczek gołębi pocztowych, na odległości nie przechodzącej stu wiorst.

— Komitet stałej wystawy międzynarodowej w Moskwie zamierza wydawać specjalny swój organ pod tytułem: „Goniec stałej wystawy międzynarodowej powszechnej w Moskwie“.

— Z Petersburga donoszą, że jednocześnie z obniżeniem kwalifikacji naukowych, dla osób wstępujących do Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, ma być wprowadzony do programu tego zakładu kurs przedmiotów ogólnych.

— Konkurs architektoniczny w Warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, rozstrzygnięto d. 30 Stycznia, nie przyznał nikomu nagrody pierwszej, afundusz jej, rs. 600, podzielił na dwie nagrody niższego stopnia. Nagrody po rs. 300 otrzymali pp: Edward Goldberg i Szymon Wedawer. Nagrody trzecie po rs. 200 otrzymali pp: Paweł Hoser za projekt kościoła w stylu romańskim, Stanisław Adamczewski: za projekt cmentarza katakumbowego. List pochwalny z dodatkiem pieniężnym p. Zygmunt Hendel, z Krakowa za plany restauracji Zamku Tenczyńskiego.

— Etat roczny Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przedstawia wysokość przewidzianych dochodów na 114,134 rs. wydatków 114,069.

— Komitet konkursowy na pomniki dla Żółkowskiego i Królikowskiego nie przyznał nagrody żadnemu z siedmiu przedstawionych planów. Ogłoszono nowy konkurs, do którego zaproszono rzeźbiarzy: Lewandowskiego, Rygiera, Woydygę, Pyrowicza, Pruszyńskiego, Syrewicza, Marczewskiego i Godeckiego.

W salonie Krywulca wystawiony obraz Pochwałskiego portret Sienkiewicza, został wybrany przez Krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, na przyszłoroczne premium dla członków.

— Rocznik Towarzystwa Ogrodniczego, czwarty z kolei, wykazuje liczbę członkom Towarzystwa na 474. Biblioteka Towarzystwa posiada 475 dzieł w 712 tomach. Muzeum ogrodnicze liczy przeszło 800 okazów. Najpilniejszą potrzebą Towarzystwa jest ogród własny, potrzebny szczególnie dla prób i doświadczeń.

— P. Juliusz Świecianowski, architekt otrzymał od Europejskiego Stowarzyszenia Naukowego w Bruxelli złoty medal i dyplom uznania za pracę: „Harmonia w sztuce“.

— Międzynarodowa wystawa obrazów otwarta zostanie w Berlinie d. 1-go Maja.

— Sejm krajowy we Lwowie polecił wydziałowi krajowemu według zapadłej uchwały swojej rozpisywanie co lat trzy konkursów dramatycznych i wyznaczanie dwóch nagród za najlepsze utwory dramatyczne w summie 500 i 250 zł. reń.

Wskutek tego rozpisany został obecnie konkurs na dramata z terminem po koniec Września 1891 roku, no utwory sceniczne z zakresu dramatu i poważnej komedii, obejmujące najmniej trzy akta. Prace konkursowe należy nadsyłać w tym terminie czasu pod adresem Wydziału krajowego we Lwowie, zaopatrzone znakiem lub godłem autora, które umieścić należy także w zamkniętej kopercie zawierającej imię, nazwisko i adres twórcy. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w przeciągu trzech miesięcy od terminu konkursowego wyznaczonego przez komisją, do której Wydział krajowy zaprosił wybranych członków, co trzykrotnie ogłasza.

— Konferencya w sprawie artystycznych upiększeń przyszłego gmachu teatralnego w Krakowie, wybrała komisją złożoną z artystów: Wojciecha Kossaka, Antoniego Piotrowskiego, Tadeusza Rybkowskiego i Biskiewicza, którzy wydadzą opinią: o ile siły miejscowe mogą tej rzeczy dokonać?

— Pewna liczba osób we Lwowie zajmująca się sprawami nowego teatru w tym mieście podniosła myśl, aby nie budować nowego teatru i od 1892 r. nie wydzierżawiać gmachu teatru Skarbka, lecz nabyć od zarządu fundacji skarbkowskiej ten gmach, odnowić go i oddać miastu na przeznaczony użytek. Projekt ten jakkolwiek poważnie traktowany przez osoby mogące tu mieć głos, coś znaczący, nie przyjdzie jednak do skutku. Dwa teatru niebędą dla Lwowa zbytкими. Do uspokojenia opinii, którą pogłoski te dotknęły, przyczyniło się ostateczne ogłoszenie uchwały magistratu, który postanowił przedstawić Radzie Miejskiej wnioski takie: 1) Uznać teatr jako instytucją miejską; 2) Budowy podejmuje się gmina, z warunkiem jednakże znacznej pomocy ze strony kraju; 3) Nowy teatr wzniesionym będzie na wałach hetmańskich; 4) Koszta budowy nie mają przewyższać 750,000 zł. r.; 4) Budowa ma trwać od trzech do czterech lat czasu.

— Pogłoski rozchodzące się w Krakowie, jakoby gmina miasta miała na żądanie ścisłego komitetu budowy pomnika Mickiewicza skłonić się do odstąpienia komitetowi na ten cel placu na wylocie ulicy Sławkowskiej, zaniepokoiła opinią publiczną, która silnie stoi przy tem, aby pomnik stanął na rynku. Wskutek tego p. Mieczysław Pawlikowski zgłosił się z zapytaniem o to do Rady Miejskiej, która przez usta prezydenta, D-ra Szlachowskiego odpowiedzi udzieliła. Komitet budowy wniósł rzeczywiście do reprezentacji miasta żądanie takie, ale odpowiedzi jeszcze nie otrzymał z powodu, że magistrat nie miał jeszcze czasu rozpatrzyć się w planach przedstawionych. Odpowiedź ta uspokoiła miasto, które silnie stoi przy pierwotnej uchwale pełnego komitetu budowy pomnika, aby posąg stanął na głównym rynku. Zdaje się też, że gmina miasta nie zechce postąpić wbrew tej uchwale, którą poniekąd już przyjęła.

— Naukowe sfery miasta Krakowa postanowiły obchodzić bardzo uroczyste sześćdziesięciolecie otrzymania stopnia doktora przez byłego prezesa Akademii Umiejętności, D-ra Meyera.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 12-ty i 13-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Prawda w Wychowaniu, przez M. Ilnicką. — Carmen Sylva, przez M. Ilnicką (dokończenie). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Ze znalezionych kartek (dalszy ciąg). — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-y i 13 powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Przeгляд mód.

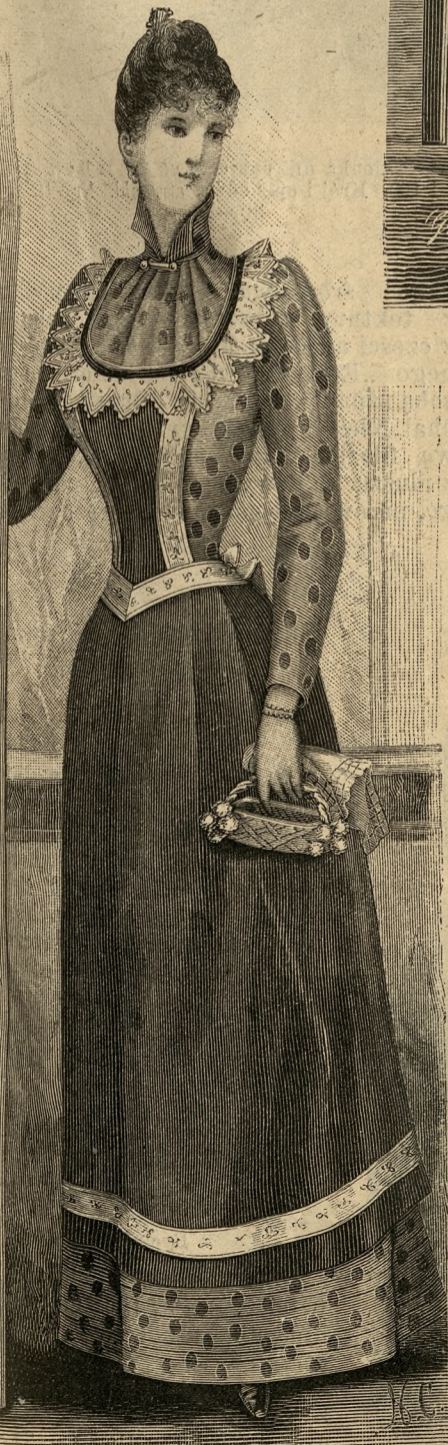
Jeszcze słówko kończącego się karnawału w kostiumach. — Czy mamy prawo narzekać na biedę.

Z gawęd towarzyskich wiemy wszyscy, że był bal kostiumowy na Foksalu w pałacu państwa W. i że te kostiumy na powiększenie wpływu na szlachetne stowarzyszenie dla matek, uprzejme panie ofiarowały się pokazać drugi raz na balu publicznym. Nie przesadzamy ich dobrych chęci. jednak niech nam wolno będzie zrobić tu uwagę na znajomości natury kobiecej opartą. W kostiumie każdemu mniej więcej, jeżeli dobrany do wieku i figury jest do twarzy, którażby więc kobieta nie chciała się 2 razy pokazać ładnie ubraną? Opisujemy dla tych co je nie widzieli a byli robione przeważnie u p. Herzego. Otóż pierwszy wspaniały zwany „staro-germański“ „alt deutsch.“ Spódnica powłóczysta blade-niebieska „faille“ na to tiunika biała, sukienka, lamowana aksamitem koloru (mordoré) bardzo długo podpięta torebką à la Gretchen. Stanik kwadratowo wycięty, złożony z trzech poprzecznych pasów: pierwszy ciemno-zielony, drugi z haftu starego na złotym tle a trzeci z aksamitu mor-



Nr 1 i 2. Suknia wieczorowa dla młodj ooby.

lantowe guziki. Na to szeł dołmanik amarantowy aksamitny, wyszywany złotem, obłożony sobolami i podbity żółtym atłasem, na głowę czapezka sobolowa z brylantową kitką. Oryginalny był kostium przedstawiający damę karo. Na białej atłasowej spódniczce rzucane emblemata tej karty z ponsowego aksamitu, we włosach duże karo ponsowe z brylantami. Inne jeszcze były dwa serbskie kostiumy dla dwóch siostr, jeden niebieski a pomarańczowy kaftanik zielony aksamitny, drugi: żółta spódniczka, ponsowy staniczek. Inny jeszcze kostium przedstawiał muzykę, nosząc na całej sukni atłasowej znaki muzyczne i nuty melodi mazurka. Grecki, powłóczysty, cały z drapeiry białej wełny, naszywanej złotą frendzlą i galonami. Wreszcie stary „Médicis“, na białym atłasie haft koralami, cały przybrany starami weneckimi koronkami. Koroną wdzięku wszystkich kostiumów był kostium przedstawiający wiosnę, blade-zielona gazowa spódniczka zasiana była polnemi kwiatami i drobnemi jaskółkami, ale to tak gęsto zasiana, jak łąka w pełni czerwcowej wiosny: na ramionach dwie większe jaskółki sięgały dziobkami dużej pasterki, przybranej pączkami róż i gniazdem z małeńkimi jaskółkami.



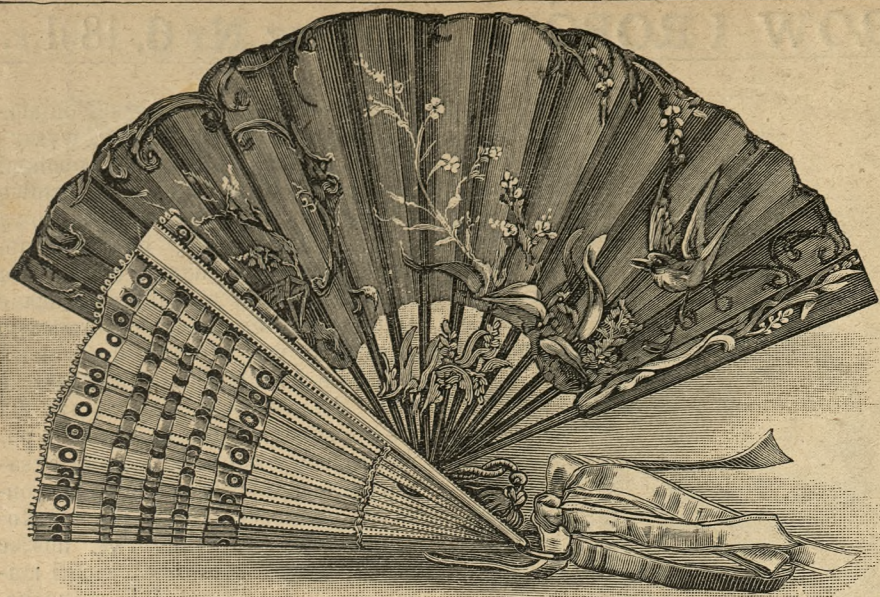
Nr 3—6. Łańcuszki do wachlarzy, torebka i flakonik odpowiednie na bal i do teatru.

doré; marszczona koszulka pod szyję z białego crêpe-lisse dopełniała tego ładnego stroju. Na ramionach zarzucony był dołmanik z zielonego aksamitu, obłożony niebieskimi lisami, spięty na złote sznury. Głowę pokrywał duży kapelusz aksamitny, przybrany pękiem różnokolorowych piór. Drugi kostium był turecki, spódnica krótka, żółta, naszyta złotem i turkusami, kaftanik „Figaro“ wiśniowy, aksamitny, naszyty złotem, szarfa blade-zielona, crêpe-chine ze złotem, na głowie turbanik ponsowy z perłami. Trzeci kostium węgierski, spódnica różowa atłasowa mieszana z żółtym, obłożona w dole sobolami, stanik biały sukienki także futrem obłożony, spięty na duże bry-

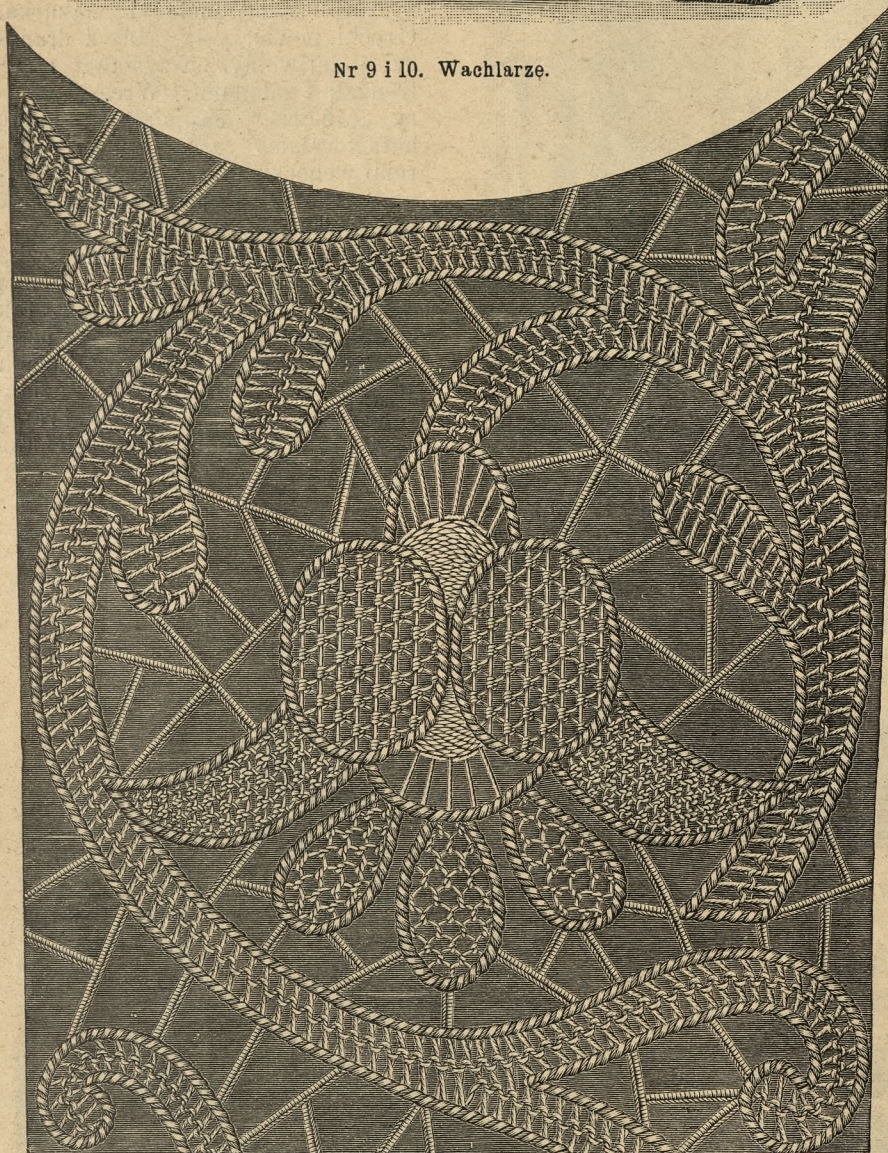


Nr 7. Fartuszek do gospodarstwa lub do malowania. Krój i op. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 54—57.

Nr 7. Fartuszek do gospodarstwa. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25—27).



Nr 9 i 10. Wachlarze.



4. Haft na napierśnik do stanika Nr 15 (wielkość orygini.).
Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 58.

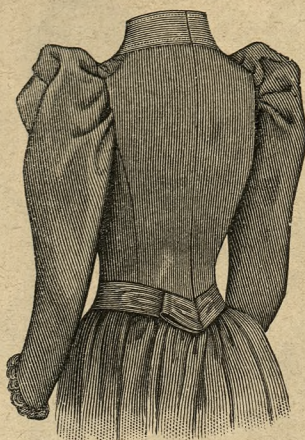
Śliczny był także kostium przedstawiający koniec XIX wieku „fin du siècle“ z trójkątem na głowie, do którego brylantowa agrafa przytwierdzała włosy tylne. Jedna ze znanych piękności miała bez kostiumu białą suknię i złożoną perukę na głowie. U pani Grabczewskiej był zrobiony kostium à la Louis XV, kostium z pluszu żółtawo-popielatego, bardzo długi, cały głęboko srebrem haftowany, obłożony takież piórami, spódnica z trenem z faille tegoż koloru, cała obłożona piórami, tren atłasem pedbity, był to kostium poważny dla mężatki w średnim wieku.

W obec tych zbytkownych strojów, czyż mamy prawo narzekać na ciężkie czasy! ale przepraszam, są tylko dwa stany u nas, ci co wiele mogą i ci, co nie mogą. Znudziłam czytelniczki moimi przeglądami karnawałowemi, za to cały post, jako czas skruchy i opamiętania przemilczę, aż do pierwszych błysków słońca.
L. C.

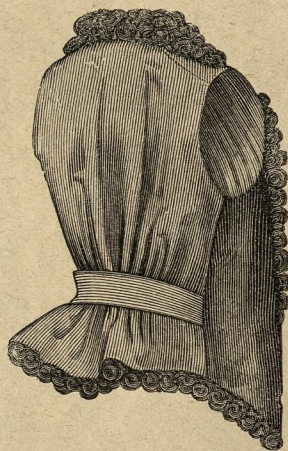
Ekran przed kominek ozdobiony haftem.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 5.

Podstawa z pręcików bambusowych z ozdobami niklowymi 87 centim. wysokości.



Nr 12. Część tylna sukienki Nr 11.



Nr 13. Część tylna kaftanika (do ryc. Nr 11).



Nr 11. Sukienka dla panienki od 12—14 lat (do ryc. Nr 12 i 13). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 30—42.

Część środkowa ułożona na podkładzie z tektury w kształcie liścia palmowego, z części atlasu koloru poziomkowego i ciemnego „Edisson.“ Części łączone pomiędzy sobą sznurkiem złotym. Bukiet róż „maréchal Niel“ i ptaszki wykonane różnokolorową filozelą ścięciem płaskim. Otoczenie z pluszu faldowanego koloru poziomkowego, przewiązywanego złotym sznurkiem.

Suknia wieczorowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 1 i 2.

Suknia z białego wełnianego materiału w pasy tegoż koloru. Stanik zapięty pod spódnicą z rodzajem karczka wykonanego z haftu podług ryc. Podszewka stanika zapina się na hafteczki w przednim brzegu, karczek zaś na prawem ramieniu a wierzchnia część stanika na lewym boku pod pachą. Pasek i kokardy z niebieskiej wstążki wykończają całość podług ryc.

Fartuszek gospodarski lub do malarstwa.

Rycina Nr 8.

Skrajac z satynki w deseń podopelnieniu fig. 54 i 55 oraz przedłużeniu takowych w kierunku strzałki (wzor 112 c. dł. a 220 c. szer.) fig. 54—56 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Fig. 55 dwie części. Podług fig. 57 rękawy z uwzględnieniem konturu spódnich części. Połączyć fig. 54



Nr 15. Stanik do sukni wieczorowej (do ryc. Nr 14). Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 58 i 59.

i 55 od 47 do 48 i od 49 do 50. Brzeg zewnętrzny obrabić. Górny przedni brzeg zmarszczyć na 26 cen. szer., otoczyć falbanką haftowaną 3 cent. szer. Rękawy zeszyć od 51 — 52 i od 53 do 54, dolny brzeg zmarszczyć od * do * i ozdobić falbanką. Wszyć w fartuszek trafiając na 54 w 54. W tylnej części przyszyć guziki i wykonać dziurki do zapinania. Pasek 4 cent. szer. a 68 cent. dług. wykończyć całość. Kieszeń zmarszczyć od dwukropka do dwukropka, górny brzeg ufałdować podług wskazówek, ozdobić falbanką i przyszyć na prawym boku fartuszka.

Wachlarze balowe i wieczorowe.

Rycina Nr 9 i 10.

Wachlarz z drzewa politurowanego na kolor jasno-żółty, pokryty krepu żółtą i naszywany wstążeczką atlasową niebieską rozmaitej szerokości, naklejanej kółkami z czarnego aksamitu.

Wachlarz z drzewa rzeźbionego, pokryty gazą czarną ozdobioną malowidłem.

Haft do stanika.

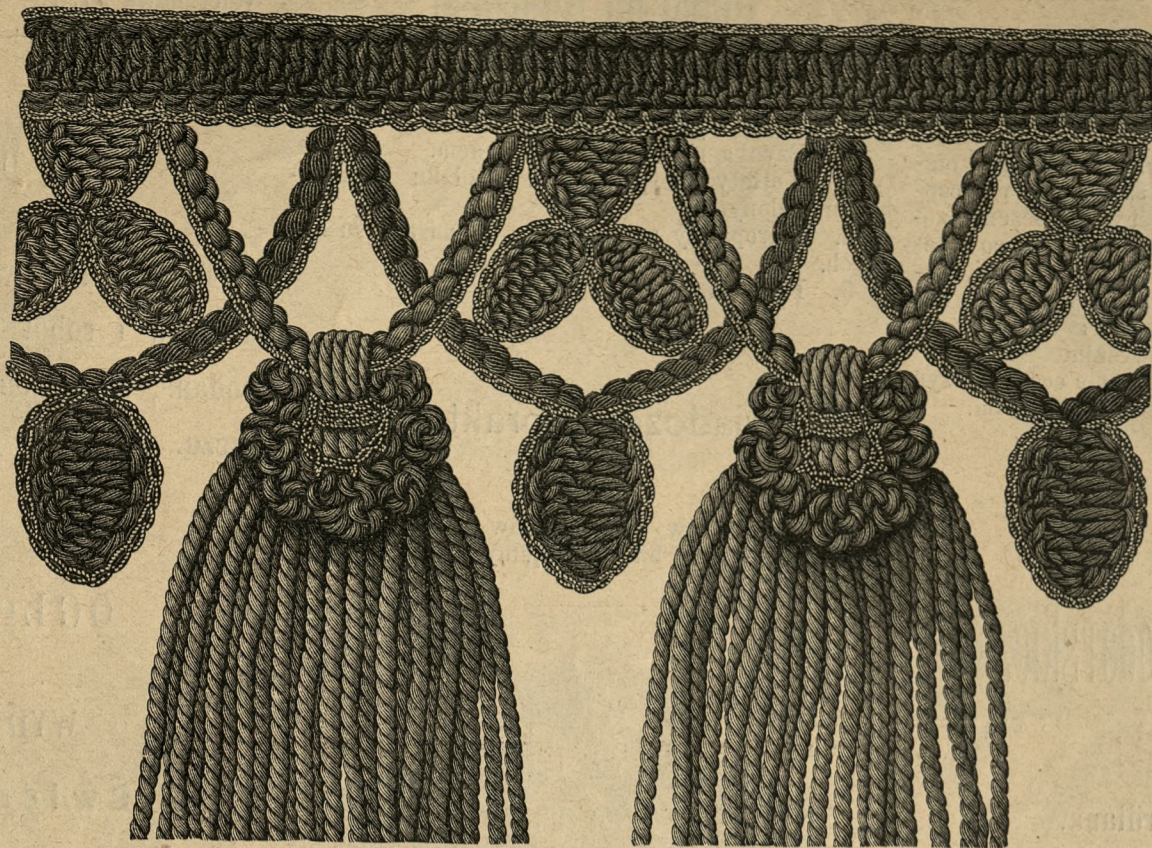
Rycina Nr 14 (do ryc. Nr 15). Wielkość oryginalna. Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 58 i 59.

Przenieść deseń ryc. Nr 14 na materiał jedwabny, repsowy i wykonać haft kordonkiem koloru poziomkowego ścięciem koronkowym, cerowanym i pajęczkami. Pręciki łączące figury ścięciem dzierganym. Wszystkie figury otoczyć sznureczkiem kręconym ze złotej nitki i jedwabiu koloru poziomkowego, który należy przyszywać ścięciem krytym.

Pasmantery do ozdoby koszyków, mebli i t. p. oryginalnej wielkości.

Rycina Nr 17.

Pasmantery wykonana z przedzy wełnianej „Kongo“ w dwóch odcieniach koloru oliwkowego i ciemno-ponsowego, oraz niemi miedzianymi i złotymi. Rozpocząć od założenia wełną ciemno-ponsową odpowiedniej



Nr 17. Pasmantery do ozdoby koszyków, mebli i t. p.

ilości oczek wzdłuż. — 1 kolej: ciągle 1 słupek w następne oczko. (Odrotna strona roboty przedstawia zewnętrzną stronę szlaka). — 2 kolej: * 1 ściśle oczko w przednią żyłkę następnego oczka, 26 powietrznych oczek na listek, na 9 ostatnich powracając, następne 2 oczka opuścić, 2 słupki, 2 podwójne słupki, 2 słupki, 1 ściśle łańcuszkowe oczko w następne 7 oczek, 17 powietrznych oczek, 13 oczek poprzedniej kolei opuścić, od * powtórzyć. — 3 kolej: wełną koloru ciemno-oliwkowego, 7 powietrznych oczek (oczka tej kolei wykonywać jak na rycinie), * 1 ściśle łańcuszkowe oczko w przednią 5 oczka z 13 następnych oczek opuszczonych w 1 kolej; 10 powietrznych oczek przyczepić do 12 z następnych

Serweta na stół (ściąg płaski).

Rycina Nr 19.

Serweta wykonana z bai w dwóch kolorach ciemno-ponsowego i oliwkowego. Długość serwety 162 centymetrów a szerokości 131 centymetrów. Część środkowa i wązki szlaczek otaczający serwetę z bai koloru ciemno-ponsowego, szlak zaś szerszy z bai koloru oliwkowego. Połączenie części wykonać wełną koloru czarnego kilkoma rzędami i pokryć ścięciem gałązkowym. Figury wykonać rozmaitego koloru wełną ścięciem płaskim i otaczać ścięciem gałązkowym częścią wełną czarną a częścią kolorową. Zao patrzyć podszewką i otoczyć kolorowym wełnianym sznurem.



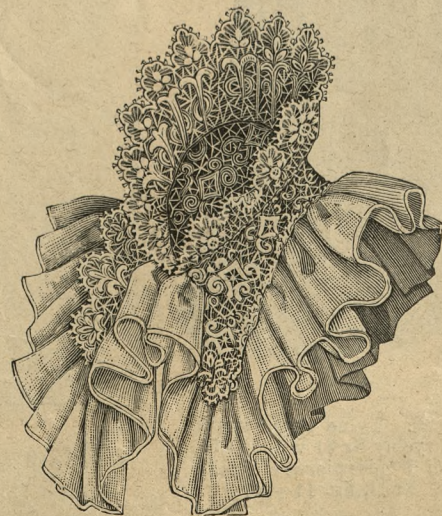
Nr 19. Serweta na stół.

26 powietrznych oczek poprzedniej kolei. Na listek powracając na 6 powietrznych oczek następne oczko opuścić, 1 ściśle oczko, 3 słupki, 1 ściśle oczko w następne 5 powietrznych oczek, 1 ściśle łańcuszkowe oczko w następne oczko. — Na listek 6 powietrznych oczek, 6 oczek przyczepić do 17 powietrznych oczek poprzedniej kolei; 1 ściśle oczko, 3 słupki, 1 ściśle oczko w 5 do 1 z 6 powietrznych oczek, 1 ściśle oczko w toż samo oczko, w którym wykonano poprzednie ściś. ocz., 1 sł., 1 podwójny słup, 1 potrójny słupek w 3 do 1 poprzednich 11 powietrznych oczek, 1 ściśle łańcuszkowe oczko w przednią żyłkę 4 z rzędu oczek 1 kolej; 13 powietrznych oczek, 7 pikotów na każdy 5 powietrznych oczek i 1 ściśle oczko w 1 z tychże. Następnie 1 ściśle

Kołnierz z koronki.

Rycina Nr 21.

Kołnierz złożony z 2 końców koronki 13 centymetrów szerokości a 200 centymetrów długości, położonych jeden na drugim i ułożonym w fałdy. Górna część wykonana tak samo z koronki 8 centymetrów szerokiej. Wstążka biała repsowa 5 centymetrów szeroka a 100 centymetrów długa wykończy całość podług ryciny.



Nr 18. Kołnierz z koronki. (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr V, fig. 28).



Nr 16. Tylna część stanika (do ryc. Nr 1 w Bl. Nr 5).

Dywanik (robota drutowa).

Rycina Nr 22.

Dywanik 140 centymetrów długości 85 centymetrów szerokości, wykonany włóczką angielską 6 drutową w trzy cienie koloru ponsowego i piaskowego. Złożony jest z 21 szlaczków połączonych z sobą w sposób ukośny. Otoczenie zewnętrzne z pluszu ciemno-ponsowego, na co trzeba 1 $\frac{1}{3}$ metr. pluszu. Podszewka z satynki, sukna lub płótna. Każdy pasek rozpocząć na założeniu 20 oczek tam i napowrót i wykonać na każdy kwadrat 42 koleje zwyczajnie. Przy zakończeniu każdego paska odczepić ocz. i łączyć ścięgiem obrzucanym z poprzednim paskiem.

Przepisy gospodarskie.

Kiszka podgardlana.

Jedna wątroba wieprzowa gotuje się, potem trze się na tarce, podgardle ugotować, odjąć z niego wierzchnią skórę, którą można użyć do salcesona, samo podgardle ugotowane przepuścić przez maszynkę, utrzeć doskonale w donicy, potem dodawać potrochu tartą wątrobę i razem ucierać, 2 bułki kupne lub domowe, miarkując, aby wielkość kawałka była taka, jak dwie mątwowe, utrzeć na tarce, skropić smakiem w którym się gotują mięsa na salceson, gdy tego niema — dobrym rosołem wołowym. Wiercić wszystko razem, dodać jaj całych pięć, korzeni t. j. pieprzu, angielskiego ziela, soli do smaku, trochę słoniny świeżej niesolonej w kostkę pokrajanej, gdyby było za suche dolać szklanę zimnej wody. Gdy to wszystko wymieszane, nakładać w kiszki grube wieprzowe dobrze wyszlamowe i wymoczone, włożyć w gorącą wodę i gotować całe pół godziny. Wyjąć gdy wystygną.

L. C.



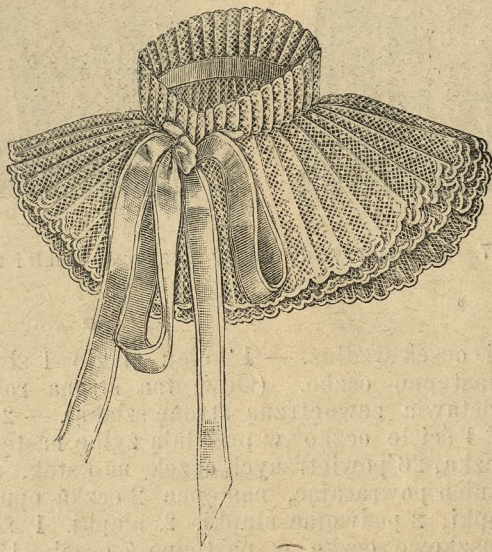
Nr 20. Tylna część sukni (do ryciny Nr 21 w Bl. Nr 5). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—21.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z jarzynami „Julienne“.
2. Szyńka na gorąco z chrzanem.
3. Kotlety cielęce lub z mózdzku z groszkiem zielonym.
4. Kuropatwy z kompotem z moreli suszonych.
5. Faworki.

Doświadczenia praktyczne.

Do naleśników z mózdzków można dolożyć kawałek siekanej białej cielęciny.



Nr 21. Kołnierz z koronki.

Korespondencya.

Odp. pani L... z Kijowa.

Nie znam środka przeciw temu złemu. Niech się pani uda listownie do składu per-

fumery i kosmetyków „Eugeniusza“, ulica Wierzbowa Nr. 1.

U w a g a.

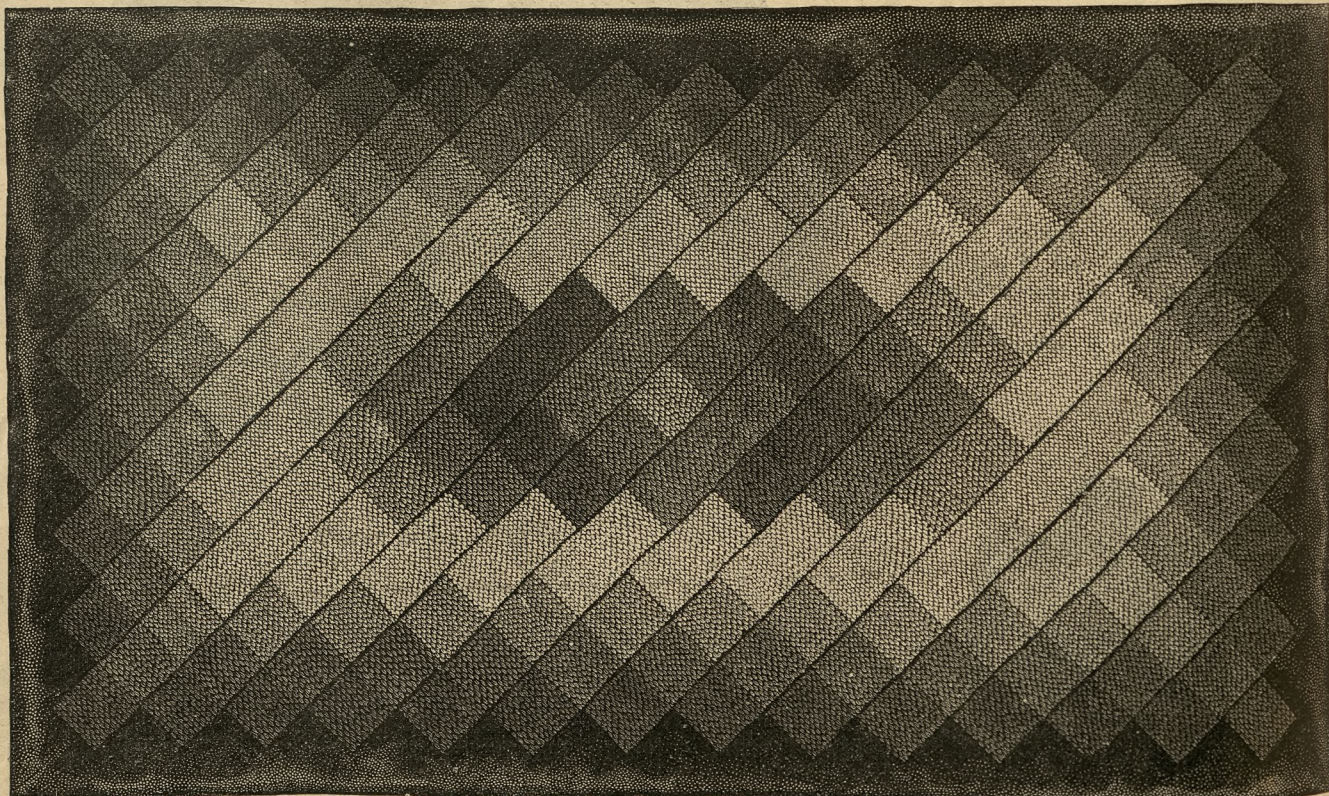
Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 5 Bluszczu.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA

L. Cwierczakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1891 (rok 16-ty). Cena kop. 50.
2. **„Kurs gospodarstwa wiejskiego i miejskiego dla kobiet“** (wydanie 2). Cena rs. 1 kop. 40.
3. **„365 Obiadów“** (wydanie 15) rs. 1 kop. 50. W oprawie rsr. 1 kop. 65.
4. **Jedynie praktyczne przepisy konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzona została medalem złotym na Wystawie przemysłowej** (wydanie 13). Cena rsr. 1 kop. 30 w oprawie.
5. **„Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“** czyli **„Porządki domowe.“** Cena k. 40.
6. **Nauka kwiatów [bez pomocy nauczyciela z 239 rycinami.** Cena rsr. 1.



Nr 22. Dywanik (robota drutowa).